

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 39 (1242) ROK XXIV

27 WRZESNIA 1981 R.

CENA 7 ZŁ

W lipcu i sierpniu nastąpiło spięcenie dostaw zboża z importu i elewatory uległy zablokowaniu. Jednocześnie pojawiło się ziarno z dobrych tegorocznych zbiorów krajowych. W roku gospodarczym 1980/81 (od lipca do czerwca) państwo zakupiło 4,4 mln ton zbóż konsumpcyjnych oraz 3,8 mln ton zboża paszowego, płaćąc dość słone ceny: 200 dolarów za tonę pszenicy i 170 dolarów za tonę paszy.

Społeczeństwo jest zbulwersowane, że przejechało aż tyle milionów dolarów. A co robi wieś, gdzie jest nasze rolnictwo, co się stało ze światowym potentatem w produkcji żyta? Ludzie są tym bardziej wzburzeni, że brakuje mąki na chleb, a różni specjaliści ów niedostatek tłumaczą niesolidnością wsi, która zwręka z dostawą zbóż do punktów skupu. Myślę, że zamiast rozbudzać nastroje antychłopskie, co niczemu dobremu nie służy, należałoby raczej wyjaśnić społeczeństwu, jaka jest prawda.

A sprawa polega na tym, że w sytuacji gdy zapowiadały się dobre plony i do kraju napływały spóźnione dostawy zbóż z importu, a 40 proc. magazynów znajdowało się jeszcze w remoncie, władze doszły do wniosku, że ziarna nie będzie gdzie pomieścić. Liczono się również z tym, że zaniedbane młynarstwo nie nadąży z mieleniem ogromnej ilości zbóż. Ówczesny minister przemysłu spożywczego i skupu, prof. Zaleski, zarządził specjalne premie dla rolników: za kwintal zboża dostarczonego w IV kwartale — 50 zł, a za dostawę w styczniu — 100 zł. Taki bodziec ekonomiczny stanowił nie tylko zachętę, ale był otwartą sugestią, by chłopci przetrzymywali zboże u siebie jak najdłużej. Jednocześnie rząd ogłaszał w środkach masowego przekazu, że ze względu na brak środków płatniczych w nowym roku gospodarczym zakupi się o około trzech milionów ton paszy mniej. Oznacza to,

Dalszy ciąg na str. 7

RYSZARD BINKOWSKI

GDZIE JEST MAKA



Foto: R. Łucyszyn

Ewa Nurczyńska PO ROKU

VIII Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku, zwłaszcza w swej pierwszej części, toczył się w cieniu I Zjazdu NSZZ „Solidarność”. Transfer wiadomości i relacji odbywał się, co oczywiste w jedną stronę, rzutował też na odbiór i ocenę prezentowanych filmów, jako że świadomość związków sztuki i życia w przypadku kina jest szczególnie wyrazista. Film — zwierciadłem i świadkiem rzeczywistości, to przekonanie determinujące tę sztukę silniej, niżeli inne. Nie może ono i nie powinno być jednak realizowane wprost, jako odbitek tej rzeczywistości. Ów niezwykle rok, stojący za pokazywanymi w konkursie filmami, był, miejmy nadzieję, jedynie prologiem do intelektualnej i artystycznej samorealizacji twórców polskiego kina. Dał powstającym w tym czasie filmom wolność wyborów tematycznych i interpretacyjnych, dał też szansę tym dziełom, które wyrokiem nie sił tajemnych, lecz konkretnych ludzi, zostały przed laty skazane na nieistnienie. Po raz pierwszy także tegoroczne jury miało, jak się zdaje, możliwość ocenić i nagradzać filmy nie ulegając żadnym zewnętrznym naciskom. Wykorzystanie tej okazji było nie tylko sprawą gustów, ale i sumienia. Werdykt pozostaje werdyktem i widzowie nagrodzonych bądź nie, filmów, każdy z osobną, będzie go na swój sposób oceniał.

„Czarny koń” Festiwalu

Zacznijmy gdańską relację od najbardziej w powszechnym odczuciu uczestników Festiwalu kontrowersyjnej decyzji jury. Wśród filmów nagrodą nobilitowanych zabrakło „Ręką do góry” Jerzego Skolimowskiego, filmu-legendy, który 14 lat czekał na swą premierę. Nie znaleziono dlań miejsca nawet wśród nagród specjalnych, które w tym roku oddano tzw. filmom półkowym. „Ręką do góry” nagrodę swą przyznali akredytowani przy Festiwalu dziennikarze. To bardzo pięknie, ale pamiętamy przecież, że stoją za nią wspomnienia czasów smutnych, których najbardziej znaczącym przypomnieniem niechaj będzie fakt wręczenia Andrzejowi Wajdzie na schodach festiwalowego gmachu, gdyż inaczej nie zezwolono, nagrody dziennikarzy za film „Człowiek z marmuru”. Zdawało się braci dziennikarskiej, iż rolę moralnego pogotowia ratunkowego ma na gdańskim Festiwalu już za sobą, okazało się, że musi ją znów odegrać. By nie imputować jurorom niczego, przypomnijmy zasadę de gustibus non est disputandum i mówmy tylko o swych upodobaniach i wrażeniach.

Dalszy ciąg na str. 8

JACEK INDELAK

REQUIEM DLA RYNKU?

Destrukcja rynku, która z dnia na dzień przybiera coraz bardziej katastrofalne rozmiary, nie jest zjawiskiem niezwykłym i zaskakującym. Taki rozwój sytuacji był do przewidzenia. Co więcej: był przewidywany na długo przed Sierpniem.

Malejący od 1978 roku dochód narodowy, zmniejszająca się globalna produkcja towarów i usług przy równoczesnym wzroście płac nominalnych, musiały doprowadzić do takiego stanu.

O luce i nawisie inflacyjnym mówiło się wyraźnie — jak pamiętamy — już jesienią zeszłego roku. Cóż z tego, skoro upłynęło wiele — bezpowrotnie zmarnowanych — miesięcy, każdy zaś miesiąc pogarszał sytuację w postępie bez mała geometrycznym. A wiadomo nie od dziś, że zjawiska inflacyjne tym trudniej opanować, im później zacznie się im przeciwdziałać.

Na zasadzie „lepiej późno, niż wcale” z początkiem lata tego roku nowo mianowany przewodniczący Pań-

stwowej Komisji Cen, minister Z. Krasinski przedstawił w imieniu rządu swoją własną receptę na ratowanie konającego rynku, którą nazwał reformą cen.

Nie znam wysokości pobołów zwolenników drastycznych — w mniemaniu większości narodu — podwyżek cen, zaryzykuję jednak założenie, że dochód na głowę w ich rodzinach kształtuje się na poziomie co najmniej 10 000 zł miesięcznie. Skąd takie przypuszczenia? Przeprowadziłem obszerny sondaż wśród znajomych. Żaden z — nielicznych zresztą — zwolenników koncepcji ministra Krasinskiego nie miał dochodów niższych od założonych wyżej tylko bowiem tak sytuowani ludzie skłonni są oddać z tego po 2 000 czy 3 000 zł co miesiąc w zamian za gwarancję, że za pozostałe pieniądze kupią nie dość, że wszystko, to wreszcie — może bez kolejki.

Właśnie, różnica w optyce! Inaczej do tego pomysłu odnieś się ten, kto te same 2 000 czy 3 000 zł oddać będzie musiał od — powiedzmy — 5 000 zł, jakie przypadają na członka jego rodziny. Dla niego — a takich przecież większość — propozycji nowych cen nie mierzy się Rodakową miarą „trochę”, lecz miarą własną — „bardzo dużo”.

Innym elementem tej samej optyki jest drugie podkreślenie, z którego łatwo można odczytać pewność, że projekt przewodniczącego PKC — po ewentualnych modyfikacjach — zostanie wcielony w życie. Jako jedynie możliwy i jedynie atrakcyjny dla zamożniejszych warstw społeczeństwa, zarazem zaś jako możliwy do zaakceptowania przez najuboższych, którym obiecuje się nie tylko pełne zrekompensowanie podwyżek, lecz nawet pewien wzrost płac realnych. W co ja osobiście nie jestem w stanie uwierzyć, zapoznawszy się ze wszystkimi wariantami systemu rekompensacji.

Dalszy ciąg na str. 4 i 5

WIĘŹNIOWIE TAKŻE SĄ LUDŹMI

Rozmowa ze STANISŁAWEM GAJEWSKIM przewodniczącym Tymczasowego Zarządu Stowarzyszenia Pomocy Osobom Uwięzionym i ich Rodzinom „PATRONAT”

— Nieliczne tygodniki przyniosły wiadomość o powstaniu Stowarzyszenia „Patronat”. Wiadomość nader lakoniczna, dlatego też proszę o bliższe szczegóły dotyczące działania tej organizacji.

— Należałoby mówić raczej o reaktywowaniu stowarzyszenia, mającego ogromne zasługi w dziele humanitarnego traktowania więźniów w okresie rozbiorów, w dwudziestolecie międzywojennym, a także w czasie okupacji. Zlikwidowane przez władze w okresie stalinowskim długo nie miało warunków, żeby się odrodzić, choć myśl o tym kielkowała zwłaszcza po przełomie październikowym roku 1956, a także później. Jednakże dopiero Siemień zdecydował o tym, że ta inicjatywa ludzi dobrej woli mogła przy-

brać się w realne kształty. Ten krąg osób skierował apel do władz w sprawie reaktywowania „Patronatu”. Chodziło o to, że w gierkowskiej Polsce było proporcjonalnie najwięcej więźniów w porównaniu z innymi krajami Europy. W apeli non est disputandum i mówmy tylko wskazywano katastrofalny stan zakładów karnych, zwracano uwagę na fakty używania więźniów do pracy poza murami więzień, na wysoki odsetek recydywy i nikłe wyniki resocjalizacji. Uznano ten stan za wysoce niepokojący i domagano się wznowienia działalności „Patronatu”.

— Wspomniał pan ogromne tradycje „Patronatu”, które, ze zrozumiałych względów, nie są dziś znane społeczeństwu. Myślę więc, że warto byłoby je przypomnieć, bo w ten sposób zostaną zarazem przybliżone cele, które przyswajają świeżo reaktywowanemu stowarzyszeniu.

— No cóż, „Patronat” ma tradycje ponad 70-letnie, powstał po rewolucji 1905 r. Wówczas chodziło przede wszystkim o ochronę prawną więźniów związanych z ruchem rewolucyjnym, a także o opiekę nad ich rodzinami. Wielkie zasługi na tym polu oddał socjalista i przyjaciel Piłsudskiego, Stanisław Patek, późniejszy ambasador Polski w Japonii. „Patronat” działa przede wszystkim poprzez pomoc prawną i dlatego początkowo skupiał w swoich szeregach głównie wybitnych adwokatów, a zainteresowanie stowarzy-

Dalszy ciąg na str. 8

FAKTY

Minał 17 września, rocznica przekroczenia przez Armię Czerwoną w roku 1939 wschodniej granicy Polski. Z tej okazji ukazały się na ulicach firmowane przez KPN, dramatyczne ulotki, a przy Grobie Nieznanego Żołnierza odbył się mały wiec, firmowany także przez tę organizację.

Telewizyjnie znów mieli okazję obejrzeć dyskusję, której uczestnicy w dość pokrętny sposób usiłowali wyjaśnić wydarzenia sprzed 42 lat, żyjące przecież w pamięci ludzi, a nie tylko na kartach podręczników, tym więc trudniejsze do zamazania.

Wyrwanie z historii poszczególnych jej kart, bez związku z tym, co było przedtem i potem, a także — co jednocześnie dzieło się na Wschodzie i na Zachodzie, na Południu i Północy, jest oglądaniem Historii przez tuwimowskiego mieszczanina, który „wszystko widzi osobno”. Przecież

17 WRZEŚNIA

milczenie znów prawd i faktów dość oczywistych, prowadzi do moralnego zera, porażenia którym co innego „wiedza”, a co innego „mówią”.

Zadna z tych postaw nie da się zaaprobować z jakiegokolwiek, byle by uczciwego punktu widzenia.

Dlategoż by nie mówić o tej sprawie po prostu. W najprostszych stwierdzeniach — przedwojenny ZSRR i przedwojenna Polska nie byli przyjaciółmi. Z jednej lenińskiego dekret o samostanowieniu, z drugiej Piłsudski i wyprawa kijowska. Także i później dyplomacja polska wyczyniała różne łamańce oddalające nas od wschodniego sąsiada.

Przyszła wojna 1939 roku, a na wojnie, jak na wojnie — każdy naród dba, po pierwsze, o własną skórę, po drugie o skórę najbliższych i najtrwalszych wypróbowanych sojuszników. Czy Polska miała prawo dbać na swój sposób o własną skórę? Miała, i dbała, jak mogła, jak chciała. Czy ZSRR miał prawo dbać o własną skórę? Miał, i dbał, jak chciał i jak mógł. Czy Polska była najbliższym, najtrwalszym i wypróbowanym sojusznikiem Związku Radzieckiego? Nie. Nie była. Czy „najbliższymi, najtrwalszymi, wypróbowanymi sojusznikami” Polski były Francja i Anglia? Były. Co zaś zrobiły zarówno 1 września 1939 roku, jak i 17 września (pamiętajmy o ówczesnym układzie sił) tegoż roku? Nic. Dokładnie nic. Poza gadaniem.

Są to prawdy brutalne, bolesne i tragiczne. Bolesne zwłaszcza dla Polaków znad wschodnich granic przedwojennej Polski, którzy dzień 17 września 1939 roku i dni następne przeżyli osobiście, lub ich nie przeżyli. Mówienie o tych prawdach i faktach w sposób szczery i otwarty nie musi oznaczać usprawiedliwienia. Usprawiedliwienia ani polityka Piłsudskiego i jego kontynuatorów, ani polityka Molotowa (który wyraził się o Polsce jako o bekarce traktatu wersalskiego) i jego mordercy. Nie należy się też dziwić, że na ogół Rosjanie nie kochają Piłsudskiego, a Polacy Molotowa.

Przedstawiać te karty historii, choćby były najboleśniejsze, trzeba. Jest ich wiele. Nie mogą to jednak być karty ani wydarte, ani zamazane. Prawdę, choćby najbrutalniejszą i najboleśniejszą, ludzie znoszą lepiej, niż najładniej opakowany fałsz. A na fałszu niczego się na dłuższą metę nie zyskuje.

A tak już nawiasem mówiąc. Czy takie najczystsze, moralne prawo do wyrażania oburzenia (co robi KPN) na pociągnięcie ZSRR z dnia 17 września 1939 roku, jakkolwiek by ich nie interpretować, mają przedstawicieli i potomkowie narodu, który 2 października 1939 roku, w podobnej sytuacji, zajął Czechosłowację, swemu południowemu sąsiadowi. Zaolzie? Zaczniemy wreszcie patrzeć na historię nie tylko przez pryzmat Polski, jako pępka świata, do którego wszystko trzeba by odnieść. Inni także istnieją. I także mają swoje ambicje i fobie. Rzecz w tym, aby nie narzucać ich innym.

JERZY KATARASIŃSKI

Nadziei nigdy nie można pogrzebać, ale z każdym dniem jej ubywa. Nieuleczalni optymiści spuścili nosy na kwintę, pesymiści nawet nie muszą krakać. Jest jak jest: nasza przyszłość rysuje się w coraz ciemniejszych barwach. Coraz częściej pada pytanie: czy przetrwamy?

Nie chcę ukrywać, że na tych łamach podtrzymaliśmy wersję optymistyczną, że oplotaliśmy zawsze za pragmatycznym kompromisem, że oredowaliśmy — na miarę skromnych możliwości — za ideą porozumienia. Nie byliśmy w swych postawach odosobnieni, wyczuwając chyba trafnie społeczne nastroje. Jednocześnie zdawaliśmy sobie sprawę, że bieg spraw nie będzie ani łatwy, ani prosty. Wielokrotnie wskazywaliśmy na przeszkodę, niezależnie po której stronie wystąpi. Mnożenie tych kłód, zamiast ich udywania, stało się coraz trudniejsze do zrozumienia, a co gorsze, blokowało rozwiązywanie spraw o najwyższym znaczeniu. Dziś stoimy, czy drepniemy w miejscu, jakby przed barykadą naszych złudzeń.

Czy instynkt samozachowawczy podpowie nam właściwą reakcję? Czy nie lepiej dokonać racjonalnego wyboru między racjami wyłożonymi otwarcie i jasno? A ten wybór jest jeszcze możliwy, chociaż wiele spraw szło za daleko, że — jak twierdzą pesymiści — już jesteśmy w ślepych zaułku, bez wyjścia. Ale z kolei tak sądzić może tylko ktoś, kto rozsądne zawrócenie z fałszywego kierunku nazywa przegraną. I chce „uciec do przodu”, nawet gdyby to miał być skok w przepaść.

Biuro Polityczne mojej partii powiedziało, stanowczo NIE takiemu rozwojowi wydarzeń. W imieniu całej partii zostały wyrażone jasno te wszystkie niepokoje i obawy, które narastały przez wiele miesięcy. I to wręcz determinacja kierownictwa partii, jak widać z doniesień napływających z całego kraju, spotkała się z aprobatą i poparciem partyjnej bazy i większości społeczeństwa. Niestety, nic nie wskazuje, na kilka dni przed drugą rundą zjazdu „Solidarności”, aby przywódcy związku wykazali jakiś gest dobrej woli, by zmniejszyć istniejące napięcie. Wprost przeciwnie: rzecznik prasowy „Solidarności” nadal mówi o „scenariuszu prowokacji”.

Nie raz na tych łamach pisałem o nieublaganej logice wydarzeń. Zjazd „Solidarności” w Gdańsku i podjęte tam decyzje były tylko konsekwencją tego, co kielkowało od dawna w wielu ogniskach związku. Nabita broń przedź czy później musiała wystrzelić. I jeśli w pierwszym momencie ostawione już postanie do krajów Europy wschodniej,

czy ultimatum wobec Sejmu PRL było czymś w rodzaju szoku dla opinii publicznej, to po głębszym zastanowieniu się każdy logicznie myślący człowiek musi przyznać, że to wyzwanie rzucono nie za sprawą przypadku bądź emocji. Tak to w życiu bywa: toczono zewsząd kamienie w którymś momencie zamieniają się w niekontrolowaną lawinę, która nie wybierając, miażdży wszystko.

JESZCZE TROCHĘ NADZIEI...

W ocenie sytuacji zawartej w oświadczeniach partii i rządu jest wszystko klarownie wyłożone. Nic do tego dodać, nic ująć. Każdy Polak musi tylko na swój użytek przystosować sobie sens tej prawdy. Chciałbym tylko zwrócić uwagę Czytelników, zwłaszcza tych, którzy mają swoje uprzedzenia, że jest to stanowisko partii, która w ostatnim roku (fakt, że w bólach to się rozdzieliła) udowodniła, że hasło socjalistycznej odnowy nie jest dla niej taktycznym manewrem dla utrzymania władzy, ale najświętszą wolą wpisana w uchwały IX Zjazdu, stworzenia ładu społecznego zgodnie z życzeniem Polaków. Czyż trzeba znowu wypiekać, co w tym duchu zrobiono w samej partii (aby mogła sprostać skutecznemu bezprecedensowym zadaniom), co zmieniło się (bądź zmieni w najbliższym czasie) w porządku państwowym naszego kraju. Zmiany te są oczywiste, co nie znaczy, że przyszły łatwo, że wewnątrz samej władzy nie ma oporów i działań destrukcyjnych. Zrozumiała też może być niecierpli-

wość niektórych kręgów społecznych i nacisk na przyspieszenie reform, ale rozsądek ostrzega przed chaosem, nakazuje rozważać przy podejmowaniu decyzji, których skutki określą nasz los na dziesiątki lat. W tak poważnym przedsięwzięciu, nie mając żadnych wzorów, każdy błąd może w przyszłości odłożyć się z wielokrotnionym niebezpieczeństwem.

Powstałe więc zasadnicze pytanie: czy tak trudnego dzieła można dokonać w atmosferze konfrontacji na wszystkich kierunkach, w warunkach pogłębiającej się dezintegracji społecznej, bez zaufania i pomocy z zewnątrz? Czy wreszcie może dokonać tego władza, której się ciągle daje kontrolę i próbuje ograniczać w jej elementarnych prerogatywach? Są to pytania (można by ich zadać więcej) w tej samej materii retoryczne i kierować je należy raczej pod adresem tych, którzy jeszcze nie wyżyli się złudzeń.

Takim podstawowym złudzeniem jest możliwość funkcjonowania w naszym systemie demokracji socjalistycznej zorganizowanej opozycji politycznej, niezależnie od formalnego kamuflażu, jakim by się posługiwała. „Solidarność”, w deklaracjach jej przywódców, sama określa się jako „opozycyjny ruch społeczny”, a potem dopiero jako związek zawodowy. Na podstawie rocznej działalności można stwierdzić bez żadnych wątpliwości, że przynajmniej trzy czwarte działań podejmowanych przez NSZZ „Solidarność” miało charakter polityczny. Ktoś mógłby powiedzieć, że 90 proc., że to w ogóle nie związek, lecz partia, itd. Rzecz nie w etykietowaniu, zresztą niełatwo o precyzyjne rozgraniczenia. Najważniejsze, czyli najgorsze jest to, że przywódcy związku weszli na drogę odstępstwa od porozumień gdańskich, od własnego statutu, że w praktyce, mimo uspokajających deklaracji, postawili linię porozumienia społecznego pod ogromnym znakiem zapytania. A nie brak opinii, że ideę partnerstwa złożyli w Gdańsku do grobu.

Tak czy inaczej sądząc, bez względu na precyzję ocen i sądów, na którą wpływa psychiczna presja sytuacji, jedno jest nadal pewne. Kanaty porozumienia nie zostały zamurowane i wszystko zależy będzie teraz od woli drugiej strony. Czy jest to dobra wola, pokaże druga część zjazdu „Solidarności”. Miliony ludzi w Polsce bardzo na to liczą. Czy ich nadzieje się spełnią? Zobaczymy.

JERZY WAWRZAK

STANOWISKO ŁÓDZKICH DZIENNIKARZY

Pogłębia się kryzys polityczny i ekonomiczny kraju. Ostatnie tygodnie cechuje wzrost napięcia społecznego. Narastanie jego, przy stałym pogarszającej się sytuacji gospodarczej, stanowi obecnie największe wewnętrzne zagrożenie. Trudności życia codziennego i powszechne poczucie beznadziejności powodują radykalizację mas. Posłuch znajdują hasła

demagogiczne, ekstremistyczne. Przykładem są nieodpowiedzialne publikacje antyrządowe, próby akcji protestacyjnych podejmowanych również wbrew uchwałom centralnych i regionalnych ogniw „Solidarności”, a także taki akt, jak „Poślanie do narodów krajów Europy Wschodniej”, uchwalone na Zjeździe „Solidarności”.

Przebieg wydarzeń może przy rozpatrzeniu społecznym wyemknać się spod kontroli i doprowadzić do krwawej konfrontacji o nieobliczalnych dla narodowego bytu skutkach.

Nie powinno umknąć uwagi społeczeństwu, że część sił skrajnych forsuje nieodpowiedzialne posunięcia polityczne pod pozorem obrony „odnowy”, część zaś powodowana niechęcią do zmian, dążąca do utrzymania swych pozycji za wszelką cenę, szermuje formułą „obrony socjalizmu”.

W ciągu roku, jaki upłynął od sierpniowych porozumień społecznych, o kształcie spraw polskich decydują stosunki między władzą i „Solidarnością”. Nie negując ani przewodniej roli partii, ani doniosłej roli „Solidarności” i całego ruchu związkowego, widzimy pilną potrzebę wzbogacenia tego dwubiegunowego układu. Związczą teraz, kiedy obie strony uszyły swoje stanowiska. To uszytywanie jest wykonywane przez tych, którzy nie rozumieją historycznego ciężaru chwili — albo są ślepi, albo z chłodnym wyrachowaniem prą do konfrontacji.

W takiej sytuacji pozostaje wiara w naród. W jego dojrzałość, patriotyzm i zbiorową mądrość. W to, że nie da się sprokocować. A także w rozsądek i odpowiedzialność tych sił w „Solidarności” i w aparacie władzy, które myślą kategoriami od-

powiedzialności narodowej i państwowej.

Dla nas, dziennikarzy, uczestniczących aktywnie w życiu kraju, nadzwyczajne są właśnie te cele. Dlatego nie możemy dopuszczać do sytuacji, w których zmusza się dziennikarzy do działań sprzecznych z linią porozumienia społecznego, zapoczątkowaną jesienią ubiegłego roku na Wybrzeżu.

Stoimy na gruncie uchwał Nadzwyczajnego Zjazdu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, które określiły rolę i zadania wiarygodnego dziennikarstwa w kraju. Stoimy na gruncie współpracy z partią i rządem, rozumianej jako rzetelne przedstawianie racji i stanowisk władzy oraz społeczeństwa, bez jakichkolwiek fałszowań.

Łódź, 18 września 1981 r.

KRONIKA KULTURALNA

jest interesujący. Rozpoczęły się one recitale czesłowskiemu organisty Milano SLECHTY, który zaprezentował utwory Jana Sebastiana Bacha. W czasie trwania Dni usłyszymy i zobaczymy zespół Capella Bydgoszczensis, orkiestrę

nizowany przez Okręg Łódzki ZPAP oraz Graficzną Pracownię Doświadczalną w Łodzi.

Na konkurs zgłoszono 326 prac. Jury obradujące pod przewodnictwem Mirosława Majewskiego przyznało następujące nagrody: I — Grzegorzowi BANASZKIEWICZOWI z Częstochowy, II — Krzysztofowi WAWRZYNIAKOWI z Łodzi i Andrzejowi ZALECKIEMU z Poznania, III — Pawłowi DURAJOWI z Podgórza, Andrzejowi NAWROTOWI ze Zgierza i Małgorzacie ZURAKOWSKIEJ z Krakowa. Nagrodę specjalną Ministerstwa Kultury i Sztuki otrzymała Ewa SARAD z Krakowa, a nagrodę specjalną prezydenta miasta Łodzi Małgorzata LESZCZEWSKA-WŁODARSKA z Katowic. Nagrodę fundowaną BWA w Łodzi otrzymał Zbigniew LUTOMSKI z Krakowa. Ponadto 10 grafikom wręczono wyróżnienia.

W MUZEUM SZTUKI przygotowywana jest wystawa malarstwa, rysunku i fotografii Derka BOSHIERA jednego z najwybitniejszych awangardowych artystów brytyjskich. Wystawa będzie pierwszą monograficzną prezentacją prac tego artysty w Polsce.

W SIERADZU w salonie BWA otwarto wystawę akwarel łódzkiego malarza i polichromisty — Józefa Mroza.

W KOŃCU ROKU w Muzeum Historii Miasta Łodzi otwarta zostanie wystawa obrazująca 70-letnią tradycję ZHP w okręgu łódzkim. Zostaną na niej zaprezentowane zdjęcia, dokumenty i harcerskie trofea.

Ekspozycja ułożona będzie w porządku chronologicznym. Organizatorem wystawy jest Komenda Chorągwi Łódzkiej ZHP.

symfoniczną i chór Państwowej Filharmonii w Łodzi oraz solistów: austriackiego organisty Thomasa Daniela Schleha, Teresę May-Czyżowską, Andrzeja Holskiego i Józefa Serafina.

W SKROMNIEJSZEJ niż zwykle opowieści odbywają się już po raz czwarty Dni Bałut.

Przygotowano wiele imprez sportowych, występów zespołów amatorskich. Otwarto także wystawę ukazującą historię i dzień dzisiejszy dzielnic.

W Dzielnicy Domu Kultury odbędzie się kiermasz łódzkich pamiątek.

ROZSTRZYGNIĘTY został VII Ogólnopolski Konkurs Otwarty na Grafikę orga-

30 WRZEŚNIA, w niedzielę w Głównie odbyła się uroczysta inauguracja roku kulturalno-oświatowego i sezonu artystycznego 1981—82 w województwie łódzkim. Władze polityczne i administracyjne reprezentowali: sekretarz KŁ ZPAP Zdzisław Szczepański i wiceprezydent miasta Łodzi Zbigniew Polak.

Na spotkaniu wysokimi odznaczeniami państwowymi i resortowymi uhonorowano zasłużonych pracowników i działaczy kultury. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski udekorowano: Ryszarda BRUDZIŃSKIEGO, Wacława CHACHUŁĘ, Andrzeja KANWISZERA, Teresę KMECINSKĄ-KACZMAREK, Zofię J. ŁOPALEWSKĄ, Mariannę MARCINIĄK, Jadwigę PIETRASZKIEWICZ-MICHONSKĄ, Mirosława POŁEMSKIEGO i Jana PTASZYŃSKIEGO. Złoty Krzyż Zasługi otrzymała Maria ABRAMOWICZ-ŁĄCZYŃSKA, zaś Srebrny Krzyż Zasługi przyznano Andrzejowi MIKOŁAJCZYKOWI.

Honorową Odnakę Miasta Łodzi wyróżniono: Tadeusza CHMIELEWSKIEGO, Wacława WYŁCZEWIA, Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi oraz Państwową Szkołę Muzyczną I i II stopnia im. Stanisława Moniuszki w Łodzi. Dyplom Honorowy ministra Kultury i Sztuki wręczono Sławomirowi ŚWIERCZYŃSKIEMU, Srebrną Odnakę za Opiekę nad Zabytkami uhonorowano Władysławowi POHORECKIEMU.

Ponadto przyznano 33 odznaki. Zasłużonego Działacza Kultury i 8 nagród dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi.

Spotkanie zakończyły występy zespołów prezentujących folklor wiejski.

TRWAJA DNI Muzyki Organowej i Oratoryjnej. Program tegorocznych Dni

OGŁOSZONO WYNIKI X Konkursu Poetyckiego na wiersz o tematyce górskiej. Wśród laureatów znaleźli się łódzianin Roman Gorzelski, który otrzymał jedną z dwu drugich nagród.

27.IX. rozpoczyna działalność Teatr Nowy. Sezon zainauguruje premiera „Bezimiennego dzieła” St. I. Witkiewicza w reż. Wojciecha Piłarskiego ze scenografią Krzysztofa Pankiewicza.

W bieżącym sezonie teatr przewiduje następujące repertuarowe: w Dużej Sali: „Wachlarz” Carlo Goldoniego, „Ambasador” Sławomira Mrożka, „Wesołego powszedniego dnia” Wojciecha Miłkowskiego, „Mandat” Mikołaja Erdmana, „Miarka za miarkę” Williama Szekspira; w Małej Sali: „Czwartkowe damy” Loleh Bellon, wieczór poezji Haliny Poświatowskiej pt. „Życie — moja miłość” oraz „Odludzie” Henryka Bardejewskiego.

W repertuarze pozostają takie słynne już „Uciechy staropolskie” w reż. Kazimierza Dejmka, „Lekarz mimo woli” Moliera w reż. Bogdana Baerę oraz dla najmłodszych widzów bajka Ewy Szelburg-Zarembiny pt. „Za siedmioma górami”, w reż. Barbary Fijewskiej.

SPROSTOWANIE

W artykule „Sociologia niepokoju” (Odgłosy nr 38 z 20. IX 1981 r.) wkłada się błąd. Wypowiedź prof. S. Władysława, kończąca się zdaniem: „Robotnicy formalnie co prawda, byli właścicielami środków produkcji, ale nie mieli żadnej kontroli nad wytworami swojej pracy”, nie została oddzielona od tekstu autorskiego, za co Profesora serdecznie przepraszamy.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁĄŻEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELA, RYSZARD ŁUCZYŃSKI (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWICKI, MAREK MILLER, JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOJENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Opracowanie graficzne: JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC. Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSZYNA SARDECKA.

Dalszy ciąg ze str. 1

Jerzy Skolimowski zrealizował przed 14 laty wielki film, wielki w sferze moralnej i artystycznej. Zanim w nim stan świadomości i postaw etycznych pokolenia ZMP, którego przedstawiciele w 1967 roku spotykają się na balu absolwentów. Kilkanaście lat później młodzi koledzy reżysera przedstawili swe „kino moralnego niepokoju”, którego bohaterami było pokolenie roku 1968 i lat siedemdziesiątych. W tym kontekście oglądany dziś film Jerzego Skolimowskiego poraża swymi diagnozami i prorocstwem. Wsiadliśmy do pociągu jadąc na oślep, głusi i pozerscy, zadowoleni z siebie zaglądaliśmy w nasze dusze na chwilę tylko i to najczęściej pod euforycznym działaniem alkoholu. W okrutnej symbolice zamkniętego towarowego wagonu umieścił Skolimowski jeszcze jedno pokolenie — ojców, a więc tych, których w wagonie tym wieszono ku jednemu celowi oznaczonemu krematorijnym kominem. Oglądany po latach film robi wrażenie wielkiej Refleksji, w których przeszłość ojców, teraźniejszość roku 1967 i przez nas samych dopisywane lata, które nastąpiły potem, tworzą obraz, który wstrząsa sumieniami, pogrąża w zadumie nad własnym życiem i nad szansą, jaką stworzył przed wszystkimi trzema pokoleniami Sierpień 1980 roku, szansa, u której podstaw stoi odrzucenie moralnego narodu.

Głębia sensów tkwiących w samym filmie i dopowiadanych doń z perspektywy doświadczeń indywidualnych i zbiorowych, ma swe źródło w niezwyklej ekspresji tego dzieła, której siły nie zniweczył czas. Można zatem zapytować, czy w istocie lek reżysera przed konfrontacją filmu w jego dawnej, niekiedy potęgi, a z dzisiejszym odbiorcą był uzasadniony. Ów lek znalazł wyraz we współczesnej ramie, której twórca nadał postać osobistego dziennikarstwa z wiosny 1981 roku. Zrealizowana w innej poetyce niesie watek autobiograficzny i szersze refleksje od dramatów współczesnego świata, z którym polski los jest przecież także nieuchronnie związany. Artysta, na którego biografii czas miniony zaczął się szczególnie, miał pewne prawo ów komentarz dopisywać i być może u jego źródeł wcale nie wspomniany lek się znajdował. Stworzył przy tym dzieło o bezprecedensowej w dziejach kina postaci. Eksplicakcja losu własnego i losu stworzonego przed laty filmu pozostaje w tym dziele w ścisłym związku z częścią filmu o autonomicznym charakterze. Stanowi ona bowiem nierozłączny element owej indywidualnej i pokoleniowej biografii. Najprostszym, najbardziej czytelnym jej znakiem są ludzkie twarze — te same w obu częściach filmu, lecz napiętnowane minionym czasem 14 lat ich życia. W kontekście wszystkich obejrzanych na tegorocznym Festiwalu filmów, „Ręce do góry” Jerzego Skolimowskiego wydają się pisać te relacje dziełem niezwyklej i najważniejszej, skupiającym w dramatyczny sposób główne wątki najważniejszych, konkursowych i pozakonkursowych pozycji, których wspólny ogląd miał w sobie coś z grupowej terapii.

Przez pryzmat historii

Nie sposób dwu wyróżnionych głównymi laureatami filmów: „Gorączka” Agnieszki Holland (Wielka Nagroda) — Złote Lwy Gdańskie i „W biały dzień” Edwarda Zebrowskiego (jedna z trzech Głównych Nagród — Srebrne Lwy) traktować w oderwaniu od zdarzeń, nastrojów i rozterek dnia współczesnego, choć oba powstały przed Sierpniem 80 roku.

W zderzeniu z hagiograficznym, pełnym wiary i optymizmu „Człowiekiem z żelaza” Andrzeja Wajdy, filmy te, biorąc za przedmiot rozważań odległy czas rewolucji 1905 roku i pierwszych lat po jej stłumieniu, wnoszą szczególny i potrzebny także dziś ton głębokiej zadumy nad uniwersaliami nie tylko natury historyczno-filozoficznej, ale także psychologicznej i etycznej. Oba filmy zdają się szukać mądrości, która płynie z doświadczeń klęsk, oba nie przyniosła jednak, bo przyniesie nie mogą, gotowych recept na mądrość polityczną, ni na metody walki, ni prawidłowości wyboru. Oba ukazują niebezpieczeństwa i dramaty związane z każdą rewolucją i z każdym wyborem postawy walki. Wobec tych wyborów i tragicznych dylematów moralnych stali nie tylko polityczni działacze u początków naszego wieku, odpowiedzialność i cena, jaką płaci każda jednostka, czy: te uczestnicząca w politycznej walce, to nie czas przeszły.

Grand Prix dla Agnieszki Holland to nie kwestionowane uznanie dla perfekcji filmowej realizacji — znakomitej narracji, rysunku psychologicznego postaci, rekonstrukcji realiów i atmosfery epoki oraz... ładunku myśli. Czy jednak aż Grand Prix, skoro te cechy przy wyborze innej, bardziej introspekcyjnej metody, są także walorami wybitnego filmu Edwarda Zebrowskiego?

Dramat lat

pięćdziesiątych

Pytanie o Grand Prix można rów-

nież postawić w obliczu filmu, który — obok „Ręk do góry” — był drugim w powszechnym odczuciu kandydatem do najwyższego lauru tegorocznego Festiwalu. Mowa tu o „Dreszczach” Wojciecha Marczewskiego (jedna z trzech Głównych Nagród), filmie, który w gronie innych propozycji, w sposób nagleb- szy dokonuje analizy okresu stalinizmu w dziejach powojennej Polski. Ten temat wyznaczył też główny nurt naszego kina w minionym roku. Znalazł on swój przejmujący wyraz w „Rękach do góry” i w telewizyjnym filmie „Wahadłko” Filipa Bajona (trzecia Główna Nagroda). Był ukryty w „Bołdynie” Ewy i Czesława Petelskich i obecny w pozakonkursowym filmie Feliksa

Falka „Był jazz”. Totalitaryzm określił też świat „Wojny światów” Piotra Szulkina i „Czujących miejsc” Piotra Andrejewa. Skutki tamtej epoki odczuwalne były w biografii bohaterów filmów „Indeks” Janusza Kijowskiego, „Dziecinne pytania” Janusza Zaorskiego i „Jak żyć” Marcela Łozińskiego.

W nasyceniu filmów dylematami minionego okresu oraz analizą społecznych i moralnych jego skutków, w próbie dramatycznych z nim obrachunków, czynionych właśnie przez młodą generację twórców znalazł swój wyraz duch czasu. Każdy obrachunek z historią wymaga dystansu — dowodem także słabości „Człowieka z żelaza” w przeciwieństwie do „Człowieka z marmuru”, dowodem — słabości „kino moralnego niepokoju”. To, iż obrachunków tych podejmuje się ludzie stonkunkowo młodzi, jest nie rozpoznaniem jeszcze do końca wynikiem obciążenia tego właśnie pokolenia skutkami tamtej epoki. To nie, że tamto bezpośrednie doświadczenie było udziałem ich młodości a nawet dzieciństwa. Jest ono globalnym doświadczeniem narodu, z wszystkimi jego późniejszymi implikacjami, które dotknęły i pokolenia następne.

Jak ważny jest głos młodych, niech świadczy a'leours film „Bołdyn” Ewy i Czesława Petelskich, zrealizowany według głosej przed laty powieści Jerzego Putramenta. Przy doskonałej filmowej robocie, znakomitej tytułowej roli „Wirgiliusza Grynia”, pozostaje „Bołdyn” wyrazem niemożności wyrwania się ze schematyzmu myślenia o despotyzmie, dla którego usiłuje się znaleźć jedyne wytłumaczenie w presji czasu niezwyklej i w poczuciu odpowiedzialności za losy innych, sił prowadzących ową jednostkę-władzę do psychicznego załamania i deprawacji. Te wyjaśnienia już nie wystarczają, są uproszczeniem, którego widz współczesny nie zaakceptuje.

Jeśli nawet pierwsze, obrachunkowe filmy młodych nie są wolne od pewnych grzechów, to górują nad filmem Petelskich pasją przebiecia się przez sytuacyjną symbolikę i dotarcia do wnętrza dusz ludzkich, ofiar systemu, którego destrukcyjna siła dokonała w sferze psychicznej i moralnej spustoszeń determinujących losy i postawy późniejsze.

Jeśli nawet raz nas chwilami pewna skłonność do zbyt maksymalnego wykorzystania całej ikonografii i innych zewnętrznych atrybutów okresu stalinizmu, takich, jak nowo tworzone wówczas obyczaje, radośna muzyka, teksty piosenek itd., to widzieć w tym trzeba w pierwszym rzędzie właśnie nachalność ówczesnej propagandy, a potem dopiero dzisiejsze próby wykorzystania jej cech jako tła ludzkich losów oraz emocjonalnej siły argumentacji i sprzeciwu.

„Dreszcze” Wojciecha Marczewskiego wykorzystują ów zewnętrzny sztafaj epoki w sposób najmniejszej, współistnieją na ekranie z opowiedzianym dramatem, funkcjonuje jako klucz psychologiczny w analizach postaw jednostkowych i zbiorowych, obnaża metody i cele systemu. Rozgrywający się dramat miszernia pięknych cech osobowych 14-letniego chłopca, nabiera w filmie Marczewskiego niezwyklej wprost wiarygodności dzięki przenikliwej analizie zarówno systemu edukacyjno-wychowawczego, jak i psychologii dorastającego dziecka. W dziecięco-młodzieżowej zbiorowości szkoły i obozu harcerskiego jak w soczewce skupiają się mechanizmy osaczające i wciągające jednostkę w krąg moralnej degradacji. Zdumiała zatem wygłoszona w trakcie konferencji prasowej opinia jurora, autora „Złotego lisa”, iż „zrzucenie ciężaru zła systemu na 14-letniego chłopca jest unikiem”. Wybór tak delikatnej materii, jakim jest bezbronny świat dzieci, decyduje bowiem o wielkiej sile przeprowadzonego w filmie dowodu.

W sukces argumentacji zawartej w „Dreszczach” przyszedł także Filip Bajon swym „Wahadłkiem”. Zródł tragedii dorosłego już człowieka (wstrząsająca kreacja Janusza Gajosa — Brązowy Lwy) poszukuje reżyser właśnie w jego dzieciństwie, w anomaliiach życia społecznego i rodzinnego. Kameralny, zgola bergmanowski dramat trojga bohaterów ma swój przejmujący socjopsychologiczny kontekst, który zdejmował ich biografie i świat wewnętrzny. Psychoanalityk, który próbowałby określić jednostki chorobowe bohaterów, musiałby posilkować się także wiedzą pozamedyczną. Przed młodziutkim bohaterem „Dreszczy” stała jeszcze jaka szansa, chcemy w nią wżyć. „Wahadłko” brutal-

nie odziera z tej wiary. Sądzę, że niejednen widz odrzuci fatalistyczny pesymizm tego filmu. Jest on jednak diagnozą, obok której obojętnie przejść nie sposób. Zbyt wiele śladów dawnej choroby rozpoznac można i w życiu współczesnym.

Feliks Falk nie zdążył swego najnowszego filmu zgłosić do festiwalowego konkursu. Dodatkowa prezentacja filmu „Był jazz” dopełniła jednak w sposób istotny obraz lat pięćdziesiątych, choć ambicje autora nie sięgały progów „Dreszczy” czy „Wahadłka”. Film ten będzie szczególnie bliski pokoleniu 40-latków, którzy rozpoznają w nim swoją młodość. Dla łodzian będzie on wyjątkowo atrakcyjny ze względu na realia naszego miasta, w którym przed czterdziestym wychodził z podziemia jazz. Uprawianie jazzu jako bunt przeciw narzuconemu modelowi kultury, jako prawo do indywidualności. Takie potraktowanie filmu nadaje rekonstruowanej legendzie polskiej muzyki jazzowej, czyli historii „Melomanów” Dudusia Matuszkiewicza inny wymiar. W tym nostalgicznym, a dla wielu młodych widzów bez mała w stylu retro zrealizowanym filmie, wiele przejmującej prawdy o faktach i atmosferze złych lat. Kto wie, czy młodym z dyskotek nie powie o ich rodzicach więcej, niż każda inna próba wyjaśnienia tego, czym byliśmy i kim jesteśmy. Wróć filmowi Feliksa Falka ogromne powodzenie.

To samo przekonanie towarzyszy filmowi „Wojna światów” — następne stulecie” Piotra Szulkina, który po „Golemie” jeszcze raz wyruszył w rejony science-fiction. Jeden z najbardziej utalentowanych przedstawicieli nowego kina dedykuje swój film Herbertowi G. Wellsowi i Orsonowi Wellesowi. W dedykacji tej zawarte jest całe przesłanie filmu. W fantastyczno-naukowym entourage'u, którego wizja nosi cechy totalitarnych rządów światem, opowiada Piotr Szulkin dzieje ludzi ubezwłasnowolnionych przez mass-media. W nich widzi najstraszliwszą broń, jaką człowiek przeciw człowiekowi wymyślił. Jest „Wojna światów” jednym z najbardziej brawurowych w dziejach polskiego kina przedsięwzięcie inscenizacyjnych. Z ogromną satysfakcją można tu mówić o wizji artystycznej i jej realizacji, które nie powstydziłyby się najbardziej profesjonalne kino. Polski film wstąpił się (?) zawodowości. Ten wstyd doszedł też do głosu w „Wojnie światów”. Jej pewną słabością jest niemożność pełnego wyrwania się spod presji tradycji literackiej, tak stała się naszą własnością. Nic to jednak, i to zrobiono krok do przodu. Mamy dobry film, który — jak na ową tradycję przystało — nie do prostej rozrywki się sprowadza, gdyż, jak sądzę, jego tanka myślowa, przesłania kierowane do widza było główną autorską intencją. Z tego też powodu sytuuje ten film w grupie dzieł w tej części wywodu przedstawianych. Równie ciepłych słów nie sposób skierować pod adresem „Czujących miejsc” Piotra Andrejewa, przedstawiających nadchodzącą zagładę ekologiczną świata. Intelktualne ambicje pozostawały w jawnej sprzeczności ze sferą anegdoty i sposobami jej opowiedzenia. Przed absolutną klęską ratuje ten film znakomity operator, Jerzy Zieliński i scenograf, Andrzej Kowalczyk.

Nasze lata

siedemdziesiąte

Mieszczą się w nich bohaterowie i ich losy przedstawione w filmach, które zdjęto z półki: „Indeks” Janusza Kijowskiego, „Jak żyć” Marka Łozińskiego, „Meta” Andrzeja Krauzego, „Spokój” Krzysztofa Kieślowskiego, „Przeprowadzka” Jerzego Gruzzy oraz te, którym czas pozwolił bezkonfliktowo trafić na ekrany: „Dziecinne pytania” Jerzego Zaorskiego, „Głosy” Janusza Kijowskiego, „Czwartki ubogich” Sylwestra

Szyszkii, „Rdza” Ryszarda Załuskiego i kilka telewizyjnych.

Dość smutna to refleksja, iż to co naprawdę przejmujące i ważne jako notacja życia zbiorowego i jednostkowego powstało przed Sierpniem. Jak się okazało, najważniejszy, naglebniejszy film „kino moralnego niepokoju” czyli „Indeks” Kijowskiego, był niedostępny wówczas, gdy był ludzom najbardziej potrzebny. Pytanie zawarte w tytule filmu Marcela Łozińskiego pozostaje zawsze aktualne. Zdumienie budzi natomiast, iż nie znalazło dlań miejsca wśród nagród. Rzecz nie tylko bowiem w neglującym wartości do niedawna preferowane autorskim spojrzeniu. Rzecz także w niezwykle oryginalnej formule artystycznej tego niezwykle filmu. Wydaje się bowiem, iż zadaniem jurów jest odnajdywać w propozycjach twórczych to, co niekonwencjonalne, poszukujące i uwieńczone przy tym artystycznym sukcesem.

Nagrody dla przejmującej smutkiem „Metą” Andrzeja Krauzego nie chcą w tym miejscu deprecjonować, choć przy „Spokój” Kieślowskiego chwilę bym się zastanowiła. Swą prywatną nagrodę przyznaje jednakże Markowi Łozińskiemu, artyście, którego żywiołem jest wprawdzie kino dokumentalne, lecz w którego talencie widzę też wielką szansę oryginalnego kina fikcji fabularnej.

Honoru najnowszych filmów o społecznej tematyce bronią „Dziecinne pytania” Janusza Zaorskiego, które — jak mniemam, zamykają rozdział nazwany „kinem moralnego niepokoju” i ostatecznie eliminują tak żałosne przypadki, jak „Czwartki ubogich” Sylwestra Szyszkii.

Było na Festiwalu kilka filmów żyjących własnym życiem i nie dających się wpisać w wyodrębnione tu nurty tematyczne. W każdym z nich ukryte były jednak treści, które miały bądź charakter uniwersalny, bądź były próbą realizacji pewnych społecznych zamowań.

Stanisław Różewicz nestor wśród twórców, prezentując na tegorocznym Festiwalu swe filmy, pokazał adaptację opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza „Kościół w Skaryszewie”. Sytuację ją w konkretnym czasie historycznym, nadal filmowi tytuł „Rys”. To bardzo piękne dzieło, które tonem i nastrojem zaznaczyło swe szczególne miejsce na festiwalowej mapie. Najlepiej charakteryzuje je sam reżyser: „Dobrze jest postuchać tego, co mówione jest szepem, przyjrzyć się temu, co w cieniu i pomyśleć nad tym, co nie powiedziane”. W historii księdza Konrada, opowiedzianej w metafizycznym — astroju, zamkniętym są odcieczne dywagacje o złożoności ludzkiej duszy, w której dobro i zło walczą o lepsze, o cienkiej ich granicy, o dylematach wyborów między prawem boskim i ludzkim. W filmie tym odnotować należy także wspaniałe kreacje Jerzego Radziwiłowicza i Franciszka Piechki. Wyda- je mi się, że właśnie ten film był nam na tym Festiwalu bardzo potrzebny.

Na przeciwnym biegunie środków stylistycznych użytych przez Stanisława Różewicza uplasować można film „Klejnót wolnego sumienia” w reżyserii Grzegorza Królikiewicza. Jego tematem jest problem tolerancji. Pretekstem historycznym i fabularnym stały się dla reżysera wydarzenia skupione wokół Konfederacji Warszawskiej, w czasie której w 1573 roku ogłoszono unikalny w ówczesnym świecie dokument głoszący pełną tolerancję religijną w Polsce. Za aktem tym stały niezwyklej wagi racje polityczne.

Diabeł chyba podkusił tym razem Grzegorza Królikiewicza, by wpleść w te historyczną rekonstrukcję watek fabularny. Poprowadził go w sposób niewyłączający wspaniałą w pewnych partiach filmu wizję. W odczuciu piszącej te słowa, skalą środków ekspresji nie wspomogł też reżyser swych intencji, rozmazał je w efektach będących popisem dla samego popisu. Trudno artyście o erudycji i wyobraźni Grzegorza Królikiewicza sugerować cokolwiek. Nie wiem jednak, czy dostrzegana w jego twórczości skłonność do hermetyczności, w finale swym przyniesie mu pełną satysfakcję.

Chłód, z jakim spotkała się „Polonia Restituta” Bohdana Poreby, jeśli nie brać pod uwagę względów poartystycznych, źródła swe ma prawdopodobnie w fakcie, iż widz polski nie ufa wykładowi historii zaproponowanemu według metody i w stylu przyjętemu przez scenarzystę i reżysera tegoż filmu. Sądzę przy tym należy, że ekran telewizyjny będzie lepszym miejscem jego prezentacji, niż sala kinowa, w której czterogodzinny seans przekracza możliwości percepcji. Wówczas jednak rodzi się pytanie, o sensowność nieprawdopodobnego w warunkach naszej kinematografii nakładu środków finansowych.

Filmem, który wzbudził wśród uczestników Festiwalu najwięcej kontrowersji była natomiast „Szara czyli przypominanie kanonu” Krzysztofa Woźniakowskiego. Charakterystyczną dla siebie metodą łączenia

dokumentu i inscenizacji próbował autor rozpoznać dawny i współczesny sens jednego z najtrwalszych symboli naszej historii i kultury, jaką jest szara ulańska. Rozumiem intencję wielkiej wolty w kierunku sierpniowych wydarzeń 1980 roku, trudno było jednak odnaleźć w filmie pełną dla niej argumentację. Przemawiał do mnie natomiast film Wojciechowskiego wówczas, gdy ukazywał zamazującą i rozkładającą najwyższe wartości jednego pokolenia funkcję czasu. Gdy ujawniał, jak powielane stereotypy kulturowe przez swą nachalność spłaszczają sens tego, co jest wartością odradzającą się ciągle na nowo, a co zamyka się w słowach: patriotyzm, godność, odwaga, poświęcenie.

W kręgu kina popularnego

Znalazły się w nim, poza przedstawionymi w innym kontekście propozycjami z gatunku science-fiction, takie filmy. Jak groteskowa komedia „Miś” Stanisława Barej i „Przeprowadzka” Jerzego Gruzzy, które można było z równym powodzeniem sytuować w podrodziale „Lata siedemdziesiąte”. Smutna to wielce komedia, z której przezierna obraz kraju i ludzi, którym proponowano model życia prowadzący do moralnej katastrofy. Tym razem Stanisława Barej, dzięki udziałowi w całym przedsięwzięciu Stanisława Tyma, odniósł swe wielkie zwycięstwo.

Więcej niż za klęską uznać natomiast trzeba wytwór wyobraźni i gustów pana Janusza Rzeszeuskiego, którym jest poświęcony Hance Ordonównie film „Miłość ci wszystko wybaczy”. Uczynił też wielką krzywdę Dorocie Stalińskiej, która na szczęście zrehabilitowała się znakomitą epizodem w „Wahadłku”.

Wielką niespodzianką jest natomiast autentycznie udana komedia sensacyjna „Vabank” debiutanta, Juliusza Machulskiego, dla której zapewne źródłem inspiracji było słynne „Złoto”. Otrzymałszy profesjonalnie zrobiony film, co, jak wiadomo, jest w naszym kinie klasy „B” wielkim komplementem. Nie uchodzi podobnym obdarowywać jednego z najlepszych „rzemieślników” polskiego filmu, czyli Janusza Morgensterna, który, jak zwykle, w filmie „Mniejsze niebo” dał nam porcję dobrego, czystego filmu psychologicznego. Nie udało się to, niestety, Laco Adamikowi w „Męczyźnie niepotrzebny”. Rekapitułując — w kinie popularnym nieco jaśniej.

Kilka uwag ogólnych

To, co uderzało w tegorocznym Festiwalu, a co niewątpliwie łączy się z pokoleniową zmianą warty, to, poza kilkoma żałosnymi przypadkami, fakt, iż podniósł się ogromnie właśnie profesjonalny poziom naszego filmu. To już nie tylko wieczne ambicje kina „ważnego tematu” — to z jednej strony bezsprzeczne taletny, z drugiej ludzie, którzy umi-ają filmy robić.

Podkreślić także należy niezwykle wysoki w tym roku poziom scenografii, komponenta, który współtworzy wartość wielu filmów, scenografii sensownej i twórczo wykorzystywanej przez reżyserów i operatorów. Nagrodę za scenografię przyznano jedną — Andrzejowi Przedwojskiemu za filmy „Gorączka” i „Wahadłko”. Wspomnieć jednak należy również znakomitego Andrzeja Halickiego („Wojna światów”).

O nagrodę za sztukę operatorską mógł z Witoldem Stokiem („W biały dzień”) konkurować niezwykle uzdolniony Jerzy Zieliński („Dreszcze” i „Czujące miejsca”). Nie zawiedli i inni, bardziej znani mistrzowie kamery, tacy, jak np. Jerzy Wójcik („Rys”) i Zygmunt Samosiuk („Wojna światów”). Przypominamy tu także, że w „Rękach do góry” oglądaliśmy wspaniały debiut fabularny Witolda Sobocińskiego.

I wreszcie sprawa ostatnia, której wyrazem jest werdykt jury. Główną Nagrodę za najlepszą rolę męską przyznano Januszowi Gajosowi, przyznano jednak także aż trzy wyróżnienia honorowe dla: Michała Bajora („W biały dzień”), Bogusława Lindy („Gorączka”) i Krzysztofa Zaleskiego („Indeks”), „Głosy”, „Gorączka”). A gdzie jeszcze nazwiska Jerzego Radziwiłowicza („Rys”), Romana Wilhelmeja („Mniejsze niebo”), „Wojna światów”, Wirgiliusza Grynia („Bołdyn”), Adama Ferency („Dziecinne pytania”), „Gorączka”). Mamy dziś wspaniałych aktorów, z których spada wreszcie teatralna maska — to prawdziwi ludzie kina.

A co z paniami? Łodzianka, Mirosława Marcheluk, otrzymała za służenie główną nagrodę za rolę siostry głównego bohatera w „Wahadłku”. Jej konkurentką była Teresa Marczeuska wyróżniona za rolę w „Dreszczach”. Na Festiwalu w Berlinie Zachodnim nagrodzono już Barbarę Grabowską za rolę Kamy w „Gorączce”, Elżbieta Karkoska próbowała uratować film „Męczyzna niepotrzebny”, a Ewa Dątkowska „Głosy”. W większości kobiety grające w naszym filmie role drugoplanowe bądź epizodyczne, tam, gdzie miały szansę, były znakomite.

EWA NURCZYŃSKA

ODGŁOSY 3

Dalszy ciąg ze str. 1

„Przy niedoborze towarów nadmiar pieniędzy — pisał Rodak w felietonie z 13 bm. — powoduje gwałtowne ogólna- nie rynku. Jacek Indelak w „Odgłosach” jednak uważa, że jest odwrotnie, że nadmiar pieniędzy jest tylko skutkiem, a brak towarów na rynku przyczyną załamania się tego rynku. I proponuje ów nadmiar pieniędzy na rynku uznać za zjawisko przejściowe”.

Jest to wprawdzie zniekształcenie mojej tezy, lecz nawet w powyższym, okaleczonym kształcie gotów jestem jej bronić. Tak, to nie tylko nadmiar pieniędzy, lecz przede wszystkim niedobór towarów załamał nasz rynek.

I bronić jej będę, jak obstawiał będę do upadłego przy stwierdzeniu, że to nie Sierpień jest przyczyną naszego kryzysu i upadku, lecz tylko jego skutkiem, że gdyby nie było Sierpnia, mogłoby być dziś jeszcze gorzej niż jest.

I trzeba o tym, niestety, nieustannie przypominać.

Rynek w „epoce „erkowskiej” nie był wcale tak sielankowy, jak się niekiedy wydaje. Pierwsze dwa czy trzy lata ożywienia gospodarki faktycznie pa- chniały dobrobytem, zwłaszcza, że świe- żo w pamięci mieliśmy autarkiczną as- cendencję z sześćdziesiątych. Na owym po- czątku, dobrych „odpowiedziach”, rzecz się właściwie skończyła.

Odczuwalna kłopoty z zaopatrzeniem zaczęły się już w 1974 roku, początkowo w handlu mięsem i przetworami. Aby stopniowo przenieść się na inne grupy towarów. Jesienią 1975 roku wybuchła panika rynkowa, ogłaszająca sklepy że kłota, dzieł sztuki i innych przedmiotów wartościowych. I od tego czasu niestety już nasz rynek nie wrócił do równowagi, stając się coraz mniej stabilnym i bardziej „znerwicowanym”. Flakso pod- wyżki cen żywności z czerwca 1976 ro- ku uruchomiło lawinę stażowych pod- wyżek innych towarów, głównie przet- worów. Rosły ceny towarów i usług, a z zaopatrzeniem było z miesiąca na miesiąc coraz gorzej. Wówczas zaczęto wmyślać nam, że perturbacje na rynku wywołuje z jednej strony — nasza gor- sza praca, z drugiej zaś — nadmiar pieniędzy, spowodowany wzrostem cen. Wzrost był rzeczywisty, ale płac nomi- nalnych, bo realne rosły od 1975 roku coraz wolniej, aby w 1978 roku zacząć spadać.

Dostawy rynkowe miały zresztą nie tylko z powodu załamania się gospo- darki. Zmniejszały się, gdyż coraz mniej importowano dóbr konsumpcyjnych, u- prawiając w zamian coraz bardziej ra- bunkowy eksport wyrobów krajowych. Też eksport za wszelką cenę — często nawet poniżej kosztów tzw. wsadu de- wizowego — doprowadził w 1978 roku do sztucznego wyrównania salda naszego handlu zagranicznego, rok zaś 1980 zam- knął nawet minimalną nadwyżką dewi- zową.

Tak, to niedobór towarów, a nie nadmiar pieniędzy jest przyczyną klęski. Bo jakże to nadmiar pienię- dzy, skoro strajkujące w Sierpniu zakłogi domagały się podwyżek płac dla wyrównania tak dotkliwego spadku płac realnych w latach 1976 — 80? Według moich zresztą wyli- czeń w wielu zawodach, a nawet całych branżach, rekompensata ta — mimo różnych „wałków” i „regu- lacji” — nie dała do tej pory ich przedstawicielom pełnego wyrówna- nia. Mówię tu zresztą o wyrównaniu teoretycznym, gdyż kompletnie zruj- nowany rynek stawia pod znakiem zapytania wszelkie pojęcia w ro- dzaju „płaca realna” czy „siła na- bywcza”.

Powiększy „rys historyczny” załamywa- nia się naszego rynku powinniśmy mieć w pamięci, aby obronić się przed be- zmyślnym przywołaniem do wiadomości uprzywilejowanego tezy, że w minie- nej dekadzie wszyscy żyliśmy ponad stan, na kredyt, na koszt naszych wie- rycieli, teraz zaś — chcieli czy nie — chcieli — przywrócić nam wszystkim „płacie rachunek” za ów „wystawny” tryb życia. Zapłacić zgodą na dalsze za- ciągnięcie pasa, na drastyczne podwyżki cen, a co za tym idzie — na ostre ob- niżenie poziomu życia.

Kto był ponad stan? Kto ma za to zapłacić? Czy ci, co tak woli rocznie barować, niedźmie egzystencję? Czy ci, którzy budowali sobie na nasz koszt wille i dace, zmieniali samochody, jak rekawiczki? I ci, którzy swoją przy- wilejową, głupotą, indolencją zrujnowali kraj? Za wywołanie z kryzysu zapłacić mała „średniacy” a więc znakomita większość obywateli naszego kraju.

Protestowałem przeciwko tej tezie, a i protest swój podtrzymałem. Pomaga mi w tym niejako sam Rodak, pisząc: „Pod koniec 1923 roku sytuacja w Po- lsce była znacznie gorzej niż dziś. Była to już hiperinflacja. Wtedy to przele- cił i minister finansów został Władysław Grabski. Reforme waluty wpro- wadził 28 kwietnia 1924 roku. Do tego czasu otrzymał specjalne pełnomocnictwo od Sejmiku. Gdyby dziś był w Sejmie, bez specjalnych pełnomocnictw czywi- ście. Każdy jego pomysł byłby szeroko dyskutowany, ohalany, wertowany i tak dalej”.

Z tym Grabskim u Rodaka to pewnie skrót myślowy. Grabski nie był bowiem cudotwórcą, a reforma — generalnie biorąc — mu nie wy- szła. Wprowadzenie mocnej złotówki na miejsce bezwartościowej marki było tylko jednym z elementów re- formy gospodarczej, za którą — i słusznie! — zapłacić miały klasy posiadające. Klasy posiadające wy- kreśliły się jednak siłami, spychając nałożone na siebie ciężary na klasy pracujące. W rezultacie powstały nowe komplikacje, z którymi nie Grabski już się borykał, bo Sejm cofnął mu pełnomocnictwa razem z posadą. Tematu nie rozumiem, gdyż w sąsiedztwie publikujemy fragment „Szafety” Melchiora Wań- kowicza, traktujący m. in. o próbach zreformowania gospodarki II Rzecz- ąpospolitej.

Na podwyżkę cen nie może być

zgody, jeśli ma być ona tylko pod- wyżką. Bo czy koncepcja prof. Kra- sińskiego jest projektem reformy cen? Nie — jest to w sporę mierze mechaniczna podwyżka cen, której podstawowym zadaniem jest drenaż. Nie rozumiem tej myśli, bo uczyni- lem to obszernie w poprzedniej pu- blikacji.

Nie ma więc zgody na mechanicz- ną podwyżkę, chociaż jest zgoda tak na reformę gospodarczą w całości, jak i jej istotny element — reformę cen. Cen, które dzięki niej regu- lowane będą przez „normalne me- chanizmy ekonomiczne”.

Ceny detaliczne, o ile mają być praw- dziwe, muszą opierać się o koszty pro- dukcji, który uśredniony jest z kolei od cen zaopatrzeniowych. Oddkamanie cen detalicznych bez nowego wiaryg- odnego cennika zaopatrzeniowego jest nie- możliwe. Ustalenie zaś prawidłowych cen zaopatrzeniowych w obecnym stanie naszej gospodarki jest niemożliwie trudne. Dopiero ustabilizowanie gospo- darki, wdrożenie reformy gospodarczej, przywrócenie prawidłowych mecha- nizmów ekonomicznych.

Interesy wszystkich grup zawodo- wych, zdolne zaś — czego dotąd ra- ziej nie ma — wnieść się ponad istniejące partykularyzmy, różnice i podziały. Upraszczając, powinno to być gremium, które zdolne będzie usytuować w powszechnej hierarchii placowej w równie obiektywny spo- sób hutnika, co lekarza.

Również i ten modelowy zestaw plac wyjściowych czy minimalnych — powinien być poddany konsultacji społecznej, po naniesieniu zaś ko- rekt i zatwierdzeniu, uznany być po- winien za obowiązujący wszystkich pracodawców z dniem 1 stycznia 1983 roku, czy też w późniejszym, możliwym do zrealizowania termi- nie.

I tak oto każdy z nas miałby jas- ność, co do tego, ile i za co powi- nien płacić, jak też, ile powinien za- rabiać z tytułu posiadanego wy- kształcenia, kwalifikacji i zatrudnie- nia.

Co tymczasem dzieje się z naszym rynkiem? Rozsyłał się całkiem, przestał zu- pełnie istnieć? Uniemoliwiając rea- lizację jakichkolwiek koncepcji i pomysłów? Przekreślając reformę, zaniżając ją do dobrej zabawy?

Moja propozycja uwzględnia, oczy- wiście, także i konieczność szybkie- go zapanowania nad rynkiem. Wprawdzie w artykule „Co komu na- wis?” („Odgłosy” nr 20 z 17.05.1981) protestowałem przeciwko demonstrowaniu nawiś inflacyjnej, daleki jednak je- stem od tego, aby go nie doceniać. O- siągnięty stan rynku jest wystarczającym po temu powodem. Ciągłe jednak obta- że przy swoimi, że nie każdemu równo „nawis”. Upięram się więc, że nie wol- no „zdejmuwać” nawiś, posługując się średnią statystyczną, która to metoda jedyną wpędzi w kompletną niedro- żych — obchodów — po trzech- wreszcie — spłynie niczym przysłowi- wa woda po kosi.

Przypomnijmy: nawiś inflacyjną to zasoby takiego pieniądza, który nie ma pokrycia w odpowiednich towarach i usługach. Nawis jest wyszczynio- brakiem — w warunkach, nie ma wi- nie wspólnego z dobrobytami oszczę- dności i niezbędnych pogotowielem ka- sowym, przeznaczonym na bieżące za- kupki.

Luka inflacyjna natomiast to — w od- różnieniu od nawiś — nie ma, lecz strumień pieniądza, przeznaczanego na zakupy, który nie znajduje pokrycia w towarach i usługach, zasila więc na- wisse zasoby, odkładając się w rezul- tacie pod postacią okresowych przysto- wów nawiś.

W. Herer i W. Sadowski w „Życiu Gospodarczym” (nr 33 z 9.05.1981) przy- czała szczegółowe wycięcia, z których wynika, że w rok 1981 weszliśmy z 200 mld nawiś. W roku zaś 1981 — na sku- tek różnicy między dochodami pienię- żnymi ludności (1 900 mld zł) a warto- ścią masy towarowej (1 400 mld zł) — 30 mld zł z podwyżki cen alkoholu powstała luka inflacyjna w wysokości 400 mld zł (50 mld zł na normalne ro- czne oszczędności). Tym samym na dzień 1.01.1982 roku nawiś wyniosła 600 mld zł, zaś w ciągu całego roku — przy nie- zmienionych dochodach i masie towa- rów — luka inflacyjna o tej samej wiel- kości powiększy nawiś do 1 biliona zło- tych.

Wycięcia te przyjmuję do swoich rozważań za prawdopodobne, aczkolwiek za autorzy, którzy podała całkiem in- ne dane. Na przykład Janusz Górski (też „Życie Gospodarcze” nr 34 z 23.05.1981) oblicza nawiś inflacyjną na koniec 1981 roku na 150-180 mld zł, stwierdza- jąc w konkluzji, że dla tego całkowitej likwidacji zachodzi.

„Konieczność dość dużej podwyżki cen dóbr i usług o 10-15 proc. w skali ro- cznej, przy czym w bieżącym okresie — bez odpowiednich rekompensat”.

Właśnie, również i poprzednio cytowa- ni ekonomisci rozpatrują warianty gwał- townego przywrócenia globalnej równo- wagi rynkowej, wycięzając, że gdyby z dniem 1.01.1983 roku podniesione zostały ceny o 52 proc. (a przy uwzględnieniu rekompensat — o 64 proc.), to w ciągu 12 miesięcy zlikwidowana zostałaby nie- tylko luka, lecz również cały nawiś, co przez kolejny rok dotychczas nadmiar to- warów pozwalający na podniesienie z dniem 1.01.1983 roku plac o 20 proc.

Konieczność profesorskiej spółki: Herer- Sadowski daleko na pewno do opty- mizmu, wydaje się ona być jednak bardzo optymistyczna wobec pomysłów ministra Krasieńskiego.

Nie wiem, skąd przewodniczący PKC wziął dane do swego projektu? Dopra- dy, nie wiem. Chyba, że za jedyną słu- szną przynajmniej odpowiedź mojego ro- zmówcy „Ostrożnie z reformą!” „Odg- łosy” nr 33 z 16.05.1981, który nawi- do „moim”.

powszechnego referendum, następnie zaś przygotowanie do przejścia na nowy sy- stem cenowy i ustalanie go w życie — jednorazowo bądź w kilku etapach — z początkiem roku 1983.

Nie mniejszy bałagan, niż w struk- turze cen, mamy również w syste- mie plac i świadczeń socjalnych. O ile udałoby nam się stworzyć wzor- cowy cennik, o tyle zestawień powin- nibyśmy modelowy taryfikacji, za- wierający prawidłowe wiersze wiel- kości i relacje w poszczególnych za- wodach, branżach i resortach. Powi- nien on uporządkować ostatecznie strukturę podstawowych, minimal- nych plac i stawek, narzucać praw- dowe i sprawiedliwe proporcje i re- lacje wyjściowych zarobków, zwła- szcza w działach zwanych niepro- dukcyjnymi, które nigdy nadają- nie mogą za wzrostem plac w in- nych dziedzinach gospodarki. Tu za- sadniczą rolę powinny odegrać zwią- zki zawodowe, a raczej specjalne ich przedstawicielstwo, reprezentujące

kowej, poprzez gwałtowną likwidac- ją luki i nawiś jest jedyną receptą na ratowanie naszego rynku? Na pewno nie.

Literatura fachowa przytacza kil- ka wariantów, z których co naj- mniej trzy dadzą się przymerzyć do obecnej sytuacji.

Pierwszy wariant już znamy. Me- toda maksymalistyczna, wstrząsowa, zdejmująca lukę i nawiś za jednym zamachem. Rynku mięsnego nie zrównoważy ona jednak w żaden sposób. Trudno sobie wyobrazić, aby ludzie — powodując się względami finansowymi — obniżyli jeszcze bar- dziej spożycie mięsa i przetworów, skoro już dziś znalazło się ono na granicy biologicznej tolerancji. Jeśli nie starczy im pieniędzy, będą się wyprzedawać i zapożyczać, żeby żyć i pracować. Albo też — strach po- myśleć, znamy chyba nastroje społe- czne...

Oczywiście, można sprawę tę pró- bować załatwić rekompensatami, im

dobro wyrobów, zalegających wówczas magazyn. Wyrobów o zawartości war- tości 650 mld zł, których wyprzedzić po cenach odpowiednio obniżonych ścia- gneliby na pewno sporo pieniędzy z rynku. Co się z tymi towarami stało? Czort jeden wie!

Nawołuję więc znów, proszę, bła- gam o sięgnięcie po wszystkie, ab- solutnie wszystkie, w miarę bezbo- lesne metody zmniejszania nawiś — włącznie z biciem monet pamiąt- kowych czy specjalnymi emisjami znaczków. Tak, tak, ziarno do ziarna...

Apeluję również o jak najrychlej- sze przystąpienie do opracowania przedmiotu konsultacji: wzorcowych modeli struktury cen i polityki plac, uwzględniających odpowiednią liczbę wariantów.

Naprawdę nie można zwlekać dłu- żej, bo rynek może w każdej chwi- li skończyć, że nawet requelem nie zdążymy oddzielić.

Wiem, czym pachnie obywatela przez fachową literaturę „puls” reglamenta- cyjną”. Nie mniej uważam, że wy- ściem na dziś i jutro (od 1.01.1983 roku co najmniej) jest objęcie reglamentacji kolejnych grup towarów powszechnego użytku. Niestety, nie ma innego wyj- ścia.

Sytem kartkowy powinien jednak za- czać funkcjonować prawidłowo wystar- czając eksperymentów, potknięć i błędów. Czas wreszcie przerwać totalną niemio- łość odpowiedzialnych za ten bałagan.

Grupy towarów reglamentowanych muszą mieć absolutny priorytet w pro- dukcji, transporcie i dystrybucji. Nie- my zaś muszą być uczciwie obliczo- ne, zgodnie z faktycznymi potrzebami spo- łeczeństwa i autentycznymi możliwościami gospodarki.

Słowem, reglamentować wszystkie, co jest niezbędne do codziennego życia i normalnej pracy, od żywności po alko- hol, od pasty do zębów poprzez ener- gię opał do benzyny i oleju napędo- wego.

Co dalej? Nadwyżki towarów reglamentowa- nych (uzyskane drogą wzrostu pro- dukcji, a nie zaniżania norm przy- działów) — sprzedawać po cenach komercyjnych, wręcz spekulacyj- nych, jak to się już robi z papiero- sami z importu i zagranicznymi szampanami.

Ceny innych, mniej bądź bardziej poszukiwanych towarów, które nie są niezbędne do powszedniego ży- cia, podnieść w sposób proponowa- ny przez ministra Krasieńskiego — a więc drastycznie, do kilkuset nawet procent. Podnieść je jednak na o- kres przejściowy, precyzyjnie okre- ślony, obwarowany umową między władzą a społeczeństwem, najlepiej na okres od 1.01.1982 do 1.01.1983 roku.

Po co?

Niechaj ci, którym autentycznie ciąży nawiś inflacyjną, kupują sobie do woli „Jowisz” po 120 000 zł, „Radmory po 40 000”, „Soplicę” po 300 zł za psi ultra. Nie „Zechaj”! Oczekujemy przecież rok- kupia po bardziej ludzkiej, może na- wet niższej, niż obecna, cenie? Zechca jednak już teraz. Gotów jestem się za- łożyć. A że niektóre towary będą się odkładać na półkach? Tym lepiej dla nas i łatwiej nam będzie wejść z praw- dziwą reformą cen.

Drewnianą rynek, którego destruk- cja zostanie gwałtownie powstrzymana, da w ciągu roku na pewno duże efek- ty. Rok nam ten będzie potrzebny nie tylko do dyskusji i konsultacji, lecz głównie do stabilizowania, porządkowa- nia i reformowania całej gospodarki. Potrzebny na zwiększenie produk- cji.

Przecież nawet przy pesymistycznych szacunkach wielkości luki i nawiś o- siągnięcie globalnej równowagi rynko- wej stanie się możliwą bez żadnych re- strykcyj przy 25-procentowym wzroście wartości produkcji towarów i usług, przeznaczonych na rynek. A jeśli wy- starczy tylko 10-15 procentowy wzrost? Zwłaszcza że nawiś częściowo jest już zmniejszona na skutek ruchu cen na ry- nku owoców i warzyw, na skutek ma- newrów cenowych w drobnej wytwór- zości...

W moim — pośpiechu z koniecz- ności — rejestrze propozycji jest je- szcze jedna, najbardziej chyba dziś istotna.

Wbrew temu, co twierdzi Rodak, niewielu się chyba znalazło ludzi, którzy uznają koncepcję ministra Krasieńskiego za jedyną i słuszną. Doprawdy, nie może być ona poczy- tywana za zbawienie dla naszej zrujnowanej gospodarki, dla schoro- wanego rynku. Względem nie tylko e- konomicznie, ale i społecznie, przema- wiają przeciwko niej. Tak czy ina- czej — jestem przekonany — pro- jekt ten upadnie. Jeśli nawet ktoś będzie próbował go urzeczywistnić, próba zakończy się fiaskiem.

Dziś najbardziej niebezpieczne jest to, że prof. Krasieński — atakowany ze wszystkich stron — występuje w roli monopolisty.

Zauważmy, że prawdziwa panika na rynku — sięgająca dziś obłędu — rozszalała się wraz z pierwszymi publicznymi enuncjacjami przewo- dniczącego PKC. Dlaczego? Nikt nie uznał za stosowne zapewnić ludzi, że niczego wbrew ich woli rząd nie uczyni. Wręcz przeciwnie, to mi- nister Krasieński jeszcze do niedawna zapewniał wszystkich, że świecie jest przekonany, iż jego projekt przejdzie.

Czas jest więc chyba najwyższy, żeby ze strony rządu padła nowa deklaracja, a i następna oferta, ko- lejna propozycja, składająca się z większej ilości wariantów.

A jest to potrzeba paląca, gdyż jeszcze w tym roku, w grudniu naj- późnie, oddzwonimy requelem dla rynku, który przeciwieństwu oszał już zupełnie!

JACEK INDELA

Na kilka lat przed wybuchem II wojny światowej Melchior Wańkowicz napisał niewielką książeczkę pt. „Centralny Okręg Przemysłowy”. Duży sukces czytelniczy tej broszury (trzy wydania w ciągu kilku miesięcy) nakłonił znanego już wówczas autora do napisania książki, daleko wykraczającej poza ramy zakreślone broszurą pt. „COP”. Książka ta pt. „Sztafeta” (dwa wydania w 1938 roku) stała się wielkim eposem na temat pracy, na temat wszelkiej pozytywnej działalności społecznej i gospodarczej, przede wszystkim w okresie międzywojennym, z szerokimi jednak odniesieniami do dziejów Polski. Mimo mnogości akcentów krytycznych i obiektywizującej dokumentacji, książka ta daje nader pozytywny obraz lat 1918—1938, zwłaszcza w kontekście gospodarczym, przez co pewnie nie doczekała się wznowienia po wojnie.

Ze „Sztafety” przedrukowujemy fragment traktujący głównie o podejmowanych w II Rzeczypospolitej próbach reformy gospodarczej, a ściślej — reformowania polityki finansowej państwa. Oczywiście, bezpośredniej analogii do naszej obecnej kryzysowej sytuacji z tekstu Wańkowicza wyciągnąć nie można, nie mniej lektura tego fragmentu pobudzi może do pewnych, dość nawet aktualnych refleksji.

(J. In.)

Mamy za sobą dwadzieścia lat „spokojnej” ewolucyjnej pracy. Jakże w tych latach podawała sztafeta dziejów państwa i ludzi idące z pokolenia w pokolenie?

Widzieliśmy w XVII wieku tylko sztafetę dekapitalizacji idącą z rak do rak. Widzieliśmy pierwszy, nieudany, bunt przeciw temu w XVIII wieku. Widzieliśmy, że w XIX wieku po raz pierwszy obie sztafety się zrównują. Jakże to podają ten bieg obecnie?

Trudno patrzeć na współczesność otaczającą. Tyle czynników przesłania pole widzenia. Widzimy je zbyt z bliska. Tak, jak byśmy przez mikroskop oglądali nogę muchy; pojęcia wówczas nie mamy, jak wygląda mucha.

Żeby sobie ułatwić — weźmy czynnik nadzorny, którym można mierzyć te procesy psychiczne, jak termometrem: pieniądź.

Pieniądź to nie jest surowiec czy produkt, który można obliczyć tak jak inne surowce i produkty. Pieniądź — to jest czynnik skumulujący w sobie tak różnorodne elementy, że wszelkie wysiłenia mające na celu określenie definicji pieniądza, praw, które nim rządzi — zawiodą. Mimo wszelkich wysiłków, które doprowadzają do tak złożonych sformułowań, jak np. recepta na ilość pieniędzy, które winny znajdować się w kraju, jaką daje encyklopedia sowiecka:

„Ilość ta równa się różnicy pomiędzy ogólną sumą cen towarowych i sumą cen towarów, sprzedanych na kredyt, dzieloną przez przeciętną ilość obrotów monet plus płatności długów, które wyeksportowały minusem wzięcia kredytów i płatności plus kapitalizacja minus monet kolejno pojawiające się w formie środków wymiany bądź w formie środków płatniczych”.

Nie będziemy wchodzić w te maticzki. Dodać, jeśli powiemy, że nowoczesny pieniądź jest jak ta driakiew na wszelkie niedomogi. W driakwi też były tysiączne składniki, ale w prawej driakwi musiał się mieścić jad węża, zaś w prawym bezozarę, innym środkiem leczniczym — łyż jelenia.

Także i w tym magicznym pojęciu, jakim się stał pieniądź, jeden składnik bezspornie dominuje — zaufanie. Ono właśnie stanowi o tym, co pieniądź jest wart, nie tam wszystkie one minus i plus przez krzyżującą się średnia.

We Francji obieg banknotów od 28.IV.36 r. do 1.IV.38 r. zwiększył się z 84,3 na 84,1, a tymczasem kurs franka spadł z 34,95 na 16,4 zł. To znaczy, że równowartość w miliardach zł spadła z 2,5 na 1,5. Niemal o połowę! Nie było realnych, naciąganych podstaw. Ale wyciekło z franka zaufanie.

Odwrotnie w Niemczech. Latem 1935 r. w pewnej mieście powiatowej byłym w lokalu miejskiej kasy pożyczkowej. Widziałem gospodarza, który przyniósł 5.000 marek, umieszczając je jako wkład za rocznym wypowiedzeniem. Personalnie kasy nie okazał żadnego zdziwienia i poinformował mnie, że jest to objaw na porządku dziennym. A przecież kraj ten przeszedł inflację, jeszcze straszliwszą niż w Polsce, w której miliony ciutaczy stracili wszystko. A przecież pokrzywicie niemieckiej marki wówczas wyniosło 2,3 i ci ludzie dobrze o tym wiedzieli.

Więc skoro zaufanie jest naczelną cechą pieniądza, a zaufanie rodzi się z większej lub mniejszej dynamiki psychiki społecznej, więc skoro szukamy — jakże to owe sztafety dziejowe dobiegły do COP-u — spojrzmy na dzieje pieniądza w Polsce.

Weźmy, jak i w innych rozdziałach tej książki — start.

Rok 1918. Rok 1919. Rok 1920.

Straszne to lata. Toczyły wojny — bez pieniędzy właściwie. To co nazywamy pieniądzem — to jest jakaś mara pieniądza, mara przeszłości.

Jest to ta driakiew bez jadu wężowego, ten bezozar bez też jelenich. Pieniądź nasz jest do tego stopnia bez zaufania u nas samych, że ruble carskie, ruble ustroju którego nie ma, ruble, najbezczelniej drukowane przez Sowietów tajnie i puszczane przez nie „spod poly”, bez żadnej gwarancji — stały miały kurs wyższy, niż polska marka, niż polska marka drukowana w 1921, i w 1922, i w 1923, polska marka — pieniądź zwycięskiego państwa, pieniądź drukowany w nadmiarze, ale oparty o realną odpowiedzialność.

Dopiero, kiedy Władysław Grabski przycisnął w pierwszej połowie 1924 roku kraj daną majątkową, kiedy trzeba było szukać tej marki na spłatę owej daniny — marka poszła w górę. Przecież pokrycie jej nie wzrosło. Ale skoro była potrzebna, więc budziła zaufanie. Konjunktury te wzrosły jeszcze bardziej ze względu na wyjątkową w Polsce drogocność pieniądza. Na skutek tego kredyt towarowy, otrzymywany od zagranicy, był dla naszego kupca istnym błogosławieństwem i działał pobudzająco.

Nawet wypowiedziana nam przez Niemcy wojna celna, która liczni ludzie przyjęli z rozpaczą, okazała się zbawienna. Wywołała wprawdzie wstrząs, ale wówczas dopiero skończył się provincializm gospodarczy Polski, na którą dotychczas świat patrzył jak na złąpę Niemiec, Austrii i Rosji, i z którą załatwiali interesy w Berlin i Wiedeń. Toteż słusznie mówi W. Fabierkiewicz:

„Tak, jak zwycięska wojna z Rosją Sowiecką przyczyniła się do ugruntowania w społeczeństwie niepodległości politycznej, tak wypowiedziana przez Niemcy wojna gospodarcza stała się musiła podstawa do koniecznego ugruntowania niepodległości gospodarczej państwa”.

To zaufanie trzymało się aż do późnej jesieni, kiedy rząd przeciągnął strunę; przejdą daninę i siedmiokrotnie zwiększył ilość banknotów.

Pamiętam, wracałem wówczas po dłuższej niebytności do kraju. Pierwsi Polacy spotkami w Paryżu przywitani mnie minami, z jakimi spotkałem rodaków w końcu lipca 1920 roku w Gdańsku, kiedy z Litwą Kowieńską śpieszyłem do kraju. Klękał Niebawem bolszewicy będą na linii Bugu.

Klękał Dolar podniósł się z 5,18 na 8, na 9, na 10, na 11,40!...

I znowu, po maju 1926 roku — przypływ zaufania. Już w czerwcu poczyna się przypływ walut do banków.

To narastające zaufanie działało pozytywnie aż do jesieni 1927 r. To zaufanie poczyna promieniać na świat. Pożyczkę stabilizacyjną w kwocie 600 milionów lokujemy za granicą. A przecież tak niedawno, w 1925 r. nasze próby ulokowania drugiej transzy pożyczki Dilonowskiej spotkało fiasco.

Mamy 80 proc. pokrycia złotem i dewizami, nadchodzą Pewuka, punkt przełomowy, kulminacyjny. Jest dobrze... Prosperity!

I cóż wówczas?

Nie grały nam po prawdzie po trzy kapele

MELCHIOR WAŃKOWICZ

JAK REFORMOWANO GOSPODARKE

w jednym dworze, nie słyszałem o trojakich balach ku czci dziewięciomiesięcznych dzieci, ale co się tyczy innych trzech tylko wsi nie zastawionych z sześćdziesięciu, to się spotykało, owszem, spotykało się, toute proportion gardée.

Spotykało się ludzi, którzy po długich staraniach o obdukcję swych nieruchomości, wyjeżdżali natychmiast po otrzymaniu pożyczki na długie wojaże, spotykało się masami inwestycje jeszcze „Tyzenhauzowskie”, robione bez ładu i składu. Prześwietny rząd szedł milowymi krokami naprzód i kiedy się patrzyło na te porfiry i jaspisy, na te dywany i witraże, na te lberie i auta, człowiek w sobie szukał miary — czyli też to już wszystko należy się prestiżowi państwa, czyli naprawdę już wszelkie potrzeby przedtem zaspokojono?

W tym czasie byłem znowu w Paryżu u szefa gabinetu jednego z ministrów. Pas szef, w albagowej marynarce, z mankietami gumowymi, siedział za przepysznym empriowym biurkiem z brązami. Na półkach jego gabinetu stały pięknie oprawne w cielec skórę tomy, jak wino omszałe, z lekką myszka trącającą. W tych książkach, w tym przepysznym biurku i senatorskich foteli była cała nadsztafeta starych kultur francuskiej, nawiązywały do siebie wieków. Nad tym biurkiem wisiała, przyczepiona szpazetką, aby znaleźć odpowiedź na pytanie, z widła kuchennego lampka z blaszanym faktorem, na zielono kolnierzem. Ta lampka i ten szpazet, te gumowe mankiety — to była Francja aktualna, Francja skąpa i oszczędna Maupassanta i Zola, Francja dorabiająca się w toku dzieł.

Opowiadał mi pewien nasz finansista, że kiedy gościł w Francji z dumą pokazywał jakiejś nadzwyczajnie podwójnej drzwi do swego gabinetu, biurko jak białe sportowe i salonik przyglądający, skomponowany z najwspanialszą prostotą, Francuz melancholijnie zauważył:

— My na to nie mamy środków, bo je wam pożyczamy.

Nie zwalajmy więc wszystkiego na kryzys. Pamiętajmy, że sztafeta dziejów pokolenia sobie podają dwie paleczki.

W 1777 roku banki przekazywały milion złotych miesięcznie do Paryża. W 1928 roku radośnie dojeżdżaliśmy do olbrzymiego deficytu naszego handlu zagranicznego — 800 milionów złotych.

Dies irae, dies illa!... — zaczął się okres pokuty. Nauczaliśmy się zaciśnąć pas.

Nawroty nieufności były coraz rzadsze. Często to je robił rząd, nie postępując jak solidny kontrahent nie tylko względem swoich, ale względem obcych. Klasyczny przykład — zmniejszenie obsługi Pożyczki Stabilizacyjnej z 7 proc. na 4,5 proc. Przez dziesięć lat rządów byliśmy wypłacalni i nagłe, ni stąd ni zowąd, ogłosiliśmy na cały świat bankructwo operację. Za co? Za oszczędzone grupie 20 milionów (miare tej sumy ocenimy, jeśli uprzytomnimy sobie, że nasz roczny przyrósł wynosił miliard dwieście milionów złotych).

Ten kompleks niższości drobnych doradczych zysków, najłatwiejszych dróg — nieraz kierował posunięciami naszych rządów. Pamiętam, kiedy zlecono mi przeprowadzenie propagandy pożyczki inwestycyjnej, uważałem, że należy, wzięwszy pod uwagę jej doskonałe warunki, drobna kupiura, uprzywilejowanie i nieduża suma ogólna emisji — zdecydować się na umieszczenie pożyczki urodkami nieprzymusowymi. Obawiano się tego. Rząd płacił ciężki grosz (łącznie z premiami 7 i pół procent) subskrybentom, a subskrybenci uważali, że padają ofiarą nowego podatku.

A czyż to nie szkodzić w najwyższej mierze ci, co wybrali się tłum drobnych ciutaczy w dni przesilenia litewskiego. Wówczas właśnie, kiedy nasza wypłacalność i stabilność naszej waluty mogły się zaprezentować w sposób naciągany najszerszym masom.

Ale, pomimo wszystko, te zakrety spirali, jakimi idą nawroty od nieufności ku zaufaniu są coraz krótsze, suma zaufania jest coraz większa. W Poznańskim, które nie ma Zydów, to zaufanie nastąpiło przed, w innych częściach kraju później. Rzecz można, że dopiero od 1934 roku mamy jedną walutę w kraju, wyłącznie polską walutę. Bo koło tego roku definitywnie zanikły transakcje dolarowe na wewnętrznym rynku.

W latach 1935—1937 po raz pierwszy w dzie-

jach Polski na nowo niepodległej nastąpiła równowaga. Przedtem okresy inwestowania nad miarę i marnotrawstwa zmieniały się z okresami depresji Rzekibys — kolejno, bądź paleczka sztafetowa Ossolińskich, bądź działaczko końca osiemnastego wieku wpada w ręce narodu.

Okres 1935—1937 jest pierwszym okresem, w którym ludzie inwestują, obliczając skrupulatnie. Wkłady w PKO z 623 milionów złotych w roku 1932, podniosły się w roku 1937 na 1.047 milionów. I w tym samym stosunku w innych naszych instytucjach oszczędnościowych. Zbyt węgla na cele przemysłowe wynosił w roku 1932 przeciętnie miesięcznie 632 tys. ton, w roku 1937 podniósł się do 1.001 ton. Produkcja surówki żelaza z 47 tys. ton miesięcznie w roku 1932 wzrosła się do 60 tys. ton miesięcznie w roku 1937; wzrost wynosił zatem 350 proc. Stali produkowaliśmy w roku 1932 przeciętnie 47 tys. ton miesięcznie; w roku 1937 już 121 tys. ton miesięcznie. Więcej również trzy razy więcej. Cementu w roku 1932 zostało wyprodukowane w ilości 30 tys. ton miesięcznie. W roku 1937 wystąpiła niemal czterokrotna zwyczajka produkcji, albowiem wytwórczość wynosiła 107 tysięcy ton miesięcznie. Produkcja energii elektrycznej wzrosła z 172 mln Kwh w roku 1932 do 280 mln w roku 1937. Wskaźnik wydobycia dziennego rudy żelaznej, który w roku 1932 wynosił 11,0, podskoczył w roku 1937 do 111,1, a zatem do 1.000 proc.!

Z oszczędności tego okresu, z pracy tego okresu staje COP. Bo wszak pożyczka francuska stanowi zaledwie 20 proc. sum inwestowanych w Centralny Okręg Przemysłowy.

Gdybyśmy tak wytrwali kilka lat, jak w 1937 roku! Doczekamy się istotnego przewrotu po trzechsetletniej stałej dekapitalizacji. Tylko oby się nam nie sprzykrzyło. Oby nie zachciało się Rivieri kapitalistom, strajku robotnikom, rat towarowych urzędnikom. Nadprodukcji przy naszym prymitywie nie ma się co obawiać.

Sa kraje, w których ludzie właściwie nie wiedzą, co by tu z pieniędzmi zrobić. Choćby taka Holandia. Po co takim pieniądzu, ja się pytam? Posłać by im na rozplódek stą naszych „szlachciców” (to znaczy w ogóle Polaków). Ci by im pokazali wyższą szkołę jazdy!

Ale u nas — u nas należy dużo zarabiać i mało wydawać. Szkoda, że najlepiej te zasady dotychczas w Polsce rozumieli wariaci.

Jest taki piękny zakład dla nich w Poznaniu — Dziekanek. Jadąc choćby na przykład autem z Poznania do Biskupina, zatrzymajcie się — tu przy drodze stoi fronton administracyjnego budynku, a dalej — republika wariacka. Otóż ta republika na planarnym zgromadzeniu uchwaliła: znieść jedzenie leguminy, a oszczędzone pieniądze oddać na zbierania. Jak dotąd wariaci są jedynymi ludźmi w Polsce, którzy ograniczyli się do takiej uchwały bez równoczesnego zadania podniesienia stopy zwłocel. Poszli w ślady Niemiec, Włoch, Rosji, Japonii.

Tak oto COP — ostatnie ogniwo sztafety gospodarczej, ma posłużyć zbiorom. Ale czy wówczas stanie się istotnie tym ogniwem gospodarczym w dziejach? Juści, że karabiny i działa będziemy mieli wówczas tańsze. Ale to ów wiedeńczyk, który odkrył na przedmiesciu Wiednia oberżę, w której mógł nabywać litr wina po szylingu, zamiast po dwa, jak dotychczas w śródmieściu — również chwalił się, że „z tego zarobku żyję”.

W zastosowaniu do COP-u znaczy to, że na przemysł wojenny można oszczędzać, nawet — sensu largo — zarabiać, ale nie można z niego „żyć”, gdyż jest to, bądź co bądź, produkcja obciążająca gospodarstwo narodowe.

Centralny Okręg Przemysłowy jest pomysła-ny nie tyle jako aktualna produkcja dla woj- ska, a raczej jako rezerwa na wypadek wojny. Potrzeby pokojowe wojska obsługują w dużej mierze zakłady uruchomione w latach poprzed- nych w tzw. trójkacie bezpieczeństwa, który stanowi prototyp COP-u.

Centralny Okręg Przemysłowy musi obsłu- giwać aktualne pokojowe potrzeby. Musi ścia- gnąć prywatną inicjatywę. Chcemy, żeby ten wiedeńczyk nie tylko łykał wino w COP, ale żeby mógł przynieść do domu żonę tanio na- byte produkty pierwszej potrzeby. Wleciej- chemy; chcemy, żeby mógł z czasem z COP-u ciągnąć gotowy grosz.

Czyż to państwo nastarczy wszystkiemu? Bernardzikiewicz wylicza, że państwo eksploatu- je około 93 proc. linii kolejowych 10 proc. kom- unikacji autobusowej. Cała sieć lotnicza i prawie cała żegluga morska (powyżej 95 proc. ogólnego tonażu) stanowi niepodzielna domena kapitału publicznego. To samo dotyczy poczty, telegrafu, radiotelegrafu i radia.

Państwo kontroluje około 70 proc. produkcji hut, około 25 proc. wydobycia węgla, 100 proc. wydobycia soli potasowych, powyżej 80 proc. produkcji soli, ponad 20 proc. gazu ziemnego. W rękach państwa znajduje się prawie 20 proc. przeróbki ropy naftowej, prawie czwartą część wytwórczości przemysłu chemicznego. Państwo ma zdecydowaną przewagę w przemyśle zbro- jeniowym, w przemyśle samochodowym i lot- niczym, kontroluje ponad 50 proc. produkcji obrabiarek, posiada silną pozycję w wytwór- czości energii elektrycznej, w przemyśle elek- trotechnicznym i graficznym.

Dominująca rola państwa zaznacza się w go- spodarce leśnej i w przemyśle drzewnym: lasy państwowe dokonują prawie połowy ogólnych wyrębów; szósta część przemysłu tartaczego, dziesiąta część przemysłu dyktowego stanowią własność państwa. Jeszcze większe znaczenie osiąga państwowy eksport drewna, zwłaszcza w zakresie materiałów tartych (39 proc.). Nie-

wiele w tyle pozostaje państwowy eksport zboża.

Należy się strzec, aby i COP nie stał się wyłącznie domeną etatyzmu Zasadnicze in- westycje, związane z przemysem wojennym, muszą w tegocześnie warunkach być państwo- we, ale dookola nich powinno się rozkładać bujne życie prywatnej inicjatywy.

W pow. rzeszowskim, w Boguchwale, przy- stępuje się do budowy wielkiej fabryki wyro- bów porcelanowych, ze szczególnym uwzględ- nieniem izolatorów elektrycznych. W Trzcielnie powstaje cegielnia rolnicza, która w części za- spokoi brak cegły. W Głogowie spodziewana jest poważna rozbudowa istniejącej tam prze- dzalni lnu i konopi. W Rzeszowie powstaje mechaniczna fabryka mebli. W Sarzynie, pow. łanucki, budowana jest wielka piekarnia me- chaniczna, mająca obsługiwać zarówno ludność miejscową, jak i powstające zakłady przemysł- we. Pow. przeworski zamierza wybudować młyn oraz pakownię owoców, a pow. jarosław- ski zakłada filię spółdzielni wędliniarskiej. W pow. mieleckim powstały poza tym liczne za- kłady pomocnicze dla powstających tam inwe- stycji wojskowych.

My wszyscy, cała Polska, jesteśmy jak ta biedna rodzina, co postanowiła sobie choćby jedno dziecko wykształcić na księdza. Ale już jak się wykształciucha, to niech nas żywi. Abyśmy mogli rzec, że „kto ma COP w ro- dzie, tego bieda nie dobiedzie”.

Z miliarda złotych, przewidzianych na 1938 roku na inwestycje, 25 proc. poszło na COP. Czwierć miliarda — nie jest to mało na nasze stosunki, jeśli zważymy, że cała Gdynia od samego początku ze wszystkich domami, urzą- dzeniami portowymi i okrętami kosztowała 700 milionów złotych.

Ale, podczas, gdy w następnych latach mu- sieliśmy zwiększać dotacje na COP, przewidy- wać by raczej należało ich zmniejszenie, bo w tym miliardzie duże sumy stanowią nasze na- leżności zamrożone od innych państw, które wybieramy maszynami i naturaliami. Te źró- dła w następnych latach się wyczerpią.

Będzie tu miał wielkie trudności min. Kwiat- kowski.

Niewątpliwie — w dziele Gdyni miał za so- bą oparcie silnego rządu marszałka Piłsudskie- go. Nie trzeba wówczas było zużywać tyle energii na uzgadnianie. Ale z drugiej stro- ny — ileż trzeba było pokonywać rzeczy no- wych i nieznanych, ile w ogniu walki wyra- bić teorii ekonomicznych, które teraz, w dzie- le Okręgu Centralnego, stwórzą gotowe ramy zasad.

Ot, choćby ta zasada „dopinania cyklu gospodar- czego”, która się nam narzuca w bekoniamy w De- biew.

Zamknięto dla wywozu świn różną kraje. Pocze- liśmy więc wytwarzać bekonny. Okazało się, że Gdańsk nie przypomina do chłodu. No, to trzeba było posta- wić chłodnię. Okazało się, że okrety cudzoziemskie, przybywające do Gdyni, mają specjalny regulamin ładowania do chłodni (natomiast tam wieże mięso, jaja, itp.) tak że na bekonny wieżę miejsca nie stawało. Trzeba było sorać sobie własne okrety z chłodniami. Wówczas się okazało, że bekon zależny od cudzoziemskich agentów, nie ma dostatecznej opłaty. Wówczas ustanowiono się własny bekon. I tylko wtedy, kiedy danoło owe ostatnie ogniwo sztafety — Gdynia — bekon chłodnia portowa — chłodnia okretowa — agent własny tylko wtedy i dopiero wtedy współpracownik sprzedawcy beko- now skończył z kilku na kilkadziesiąt punktów.

Zwiedzamy w Debiew w Okręgu Centralnym wiel- ką bekonarnię, własność państwa, w której zar- bawiał ponad 2 milionów zł, która przerabia 5000 sztuk trzedy, 1500 cielat, zatrudnia 300 pracowników. Doszliśmy do tego, że poniedział 15 naszego wy- wozu stanowiła sztuka żywe, około połowy wywozu jest przetwarzana na półfabrykaty, a już jedna trze- cia na konserwy mięsne, głównie szynki w puszkach. Już i 13 procent eksportowanego przez nas drobiu opuszcza kraj w konserwach. Już i cenne osłagary w Stach Złedonowych te sama, co lani monortery europejscy, z dawna na rękę wprowadzani.

Kiedy tak patrzę na jadące na taśm ruchomej świnionozach białych tusz świąteczne które od odu- zienia i przejęcia tchawicy wędrują z rak do rak (a każdy robotnik ma parę określonych ruchów), aż do ostatniego robotnika, który okłada napierem bla- szane pudełka, myślę sobie, że proces oddebrania życia, przekłamywanie punktu straszy, który w odcienkach naszych, ucyhowanych na humanimie XIX wieku, zabija pierwszą miłość, tutaj, w to- talnym ustroju ustroju, jest tylko jednym z kilku- dziesięciu ogniw produkcji.

I kiedy w rozmowie z min. Kwiatkowskim przypominamy sobie, gdy mówi o „dopinaniu wszystkich elementów z cyklu inicjatywy go- spodarczej” te bekonny, mniej myślimy o życiu biednej świnii, niż o tym strasliwym wysiłku, o grze, wymagającej napiecia wszystkich ner- wów, o tym, jaka to było trzeba wyciągnąć kartę i jak zarząca, kiedy wartość globalna wywozu artykułów hodowlanych spadła z 310 milionów na 89 — aby ją doprowadzić znów do 145 milionów w roku ubiegłym, na jaką zaradność trzeba się było zdobyć, gdy nagle eksport świn zmniejszył się z 2 milionów sztuk do blisko 700 000 sztuk — aby znów osiągnąć w roku zeszłym milion sztuk Europa zaskle- piła się barierami? Wskulujemy nasz eksport, już cztery piate jego lokujemy w krajach za- morskich. Jeszcze w 1934 roku eksportowaliśmy do 26 krajów, w roku zeszłym już eksporto- waliśmy do 45 krajów. Oprócz istniejących w Centralnym Okręgu przetwórnictw mięsnych w Tarnowie, Debicy, Jarosławiu, Lublinie i Ra- domiu, powstaje przetwórnictwo w Rzeszowie i projektuje się w Sandomierzu.

Ten „świąteczny incydent” kładę na końcu roz- wazań w sztafecie dziejów naumyślnie Kon- serwy mięsne, to tylko małe pomocnicze za- danie Centralnego Okręgu, który jako posze- rzony COP (Centralny Okręg Rolniczy) ma armie w czasie wojny wyżywić. Ale i w tym małym fragmencie odbija się cały spłot skom- plikowanych spraw, które już Ludwik XIV na- zwał „pracą kierowaną”, a które w naszych czasach muszą być kierowane stokrój bardziej.

Tak czy owak — naczelną rolę gra w tych sprawach dynamika, praca i zaufanie. W tych dziedzinach jest z nami stokrój lepiej, niż w ciągu dziejów, stokrój lepiej, niż w pierwszych latach Polski.

Pocynamy coraz pewniej powtarzać słowa, które ongiś Szczepanowski rzucił w zaraniu odrodzenia gospodarczego:

„Typem Polaka nie jest pieczeńiarz lub zawadziak z XVIII wieku, albo serwituta XIX wieku, ale cały ten szereg bohaterów, postaci, które od Piasta i Kazimierza Wielkiego do Kościuski przechowały tradycję i nasz rozwój historyczny”.

Paleczka sztafetowa Lubieckich szybiej idzie z rak do rak, niż paleczka Ossolińskich.

WOKÓŁ BOCHNA CHLEBA

Tradycje polskiego cukrownictwa sięgają wieku XVIII, kiedy to bracia Schickel zakładają w Bydgoszczy pierwszą rafinerię cukru trzcinowego. W parędziesiąt lat później Franciszek Karol Achard wznosi w Konarach (na Śląsku) pierwszą w świecie fabrykę cukru z buraków. Od tego czasu cukier zaczyna zdobywać stoły początkowo magnackie, później szlacheckie, mieszczańskie i chłopskie, wypierając miód, używany do słodzenia napojów i ciast. Nie wiemy ile ton cukru wyprodukowano wówczas w Konarach, natomiast z całą dokładnością można stwierdzić, że w czasie ostatniej przedwojennej kampanii 1938/39, pracowało w kraju 61 cukrowni dając 546 tys. ton cukru, a spożycie na statystyczną głowę ludności wynosiło 13,1 kg. Zachowały się także dane z pierwszej powojennej kampanii, odbywającej się w ściśle pionierskich warunkach, kiedy to wielkim wysiłkiem uruchomiono 52 cukrownie, otrzymując 173 tys. ton cukru białego. Później przez trzydzieści sześć lat krzywa statystyczna zarówno produkcji jak i spożycia cukru na 1 mieszkańca piła się w górę na wszystkich wykresach i planach, aby na początku lat siedemdziesiątych znaleźć się w bliskawicowym zrywie i zlecieć niżej wszystkich możliwych potrzeb i oczekiwań.

W okresie zachłystywania się sukcesami polskiej gospodarki byliśmy przekonani, że i w tej dziedzinie stanowią niewzruszoną potęgę. Ba, nie dość, że sami produkujemy zawrotne ilości słodkiego proszku, że go eksportujemy na trzy kontynenty do 31 krajów, to stać nas na to, by w wielu krajach budować potężne zakłady cukrownicze, rozwijać przemysł cukrowniczy. Zresztą tradycje mieliśmy znakomite: do pierwszej wojny światowej polski przemysł maszynowy wybudował (głównie w Rosji i Mandżurii) 10 cukrowni, wyposażając je w aparaturę i urządzenia. Właśnie wtedy kształtowała się i ugruntowywała sława polskich cukrowników, rzemieślników i projektantów.

I oto mój rok 1981. Na głowę statystycznego Polaka przypada rocznie 12 kg cukru (mniej niż przed wojną), choć mieliśmy, jeśli znów wierzyć statystyce z okresu nasilenia się propagandy sukcesu, aż około 45 kg na każdego obywatela PRL. Stawiało to nas na czwartym miejscu w Europie! Dziś jesteśmy na ostatnim miejscu w świecie. Zbliżając się kampania cukrownicza być może zmieni tę statystykę, choć wątpię, gdyż podwyższenie do 1,5 kg cukru miesięcznie może okazać się równie nierealne, jak nierealne są przydziały mies. w różnych gatunkach w ramach obowiązującej reglamentacji. Może się bowiem okazać, że cukru zwyczajnie nie ma i kartki pozostaną smutną pamiątką po totalnym kryzysie gospodarczym, w jaki popadliśmy bez wojny, bez kataklizmu ekologicznego, bez morowego powietrza.

Tegoroczna kampania tuż tuż. Cukrownia Leśmierz k/Ozorkowa — w pełni gotowości produkcyjnej. Choć jest jedną z trzech najstarszych w kraju, to po dokonaniu solidnej modernizacji wszyscy tu czekają na rozruch. Dyrektor inż. Stanisław Jerzak, który przepracował w przemyśle cukrowniczym 40 lat i kiedyś rozpoczął od łopaty, twierdzi, że tegoroczna produkcja winna być dużo lepsza niż w roku ubiegłym. — Buraki otrzymujemy od plantatorów pracujących w promieniu 25 km od nas. Jest

ich ok. 8 tysięcy i sądzę, że dostarczą do cukrowni prawie 2 mln kwintali buraków. To jest sporo. Mogę więc zapewnić, że cała nasza produkcja zostanie przekazana dla województwa miejskiego łódzkiego, a jedynie niewielka ilość cukru trafi do Piotrkowa, Sieradza i Skierniewic. Nie jest prawdą, że wysyłamy gdzieś cukier wagonami czy też ładujemy go na tiry i pod osłoną nocy odprawiamy na zagraniczne trasy. Nasz cukier pozostaje w kraju.

Tyle dyrektor. Za tą wypowiedzią kryje się jednak trud wielu tysięcy ludzi, tych pracujących na plantacji i tych w cukrowni. W latach minionych cukrownictwo znajdowało się niejako na uboczu, przyćmione gigantami typu Huta Katowice czy Port Północny. Dlatego też coraz bardziej wydłużały się kampanie cukrownicze, nieraz do 150 dni, co powodowało duże straty cukru. Właściwa kampania cukrownicza winna trwać od października do końca grudnia, nie

wcześniej ani później. Jeśli zbierze się buraki we wrześniu — wówczas zostaje przerwana ich wegetacja; jeśli trafiają do produkcji w styczniu i lutym — tracą cukier na skutek zamrożenia, rozmrożenia, a że w czasie zbiorów są uszkodzone, więc zaczynają gnić. W takich sytuacjach straty cukru dochodzą nieraz do 60 i więcej procent. Np. ze 100 kg buraków w miesiącach październik — grudzień otrzymuje się ok. 12 kg cukru, w styczniu i lutym już tylko 5 kg. Co prawda tegoroczna kampania rozpoczyna się już pod koniec września, ale jest to spowodowane ogólną sytuacją ekonomiczną kraju i te drobne ubytki nie będą tak wielkie, jeśli praca cukrowni została przesunięta na rok przyszły. Szacuje się, że jeśli tu, w Leśmierzu, ruszą pełną parą 22 września, to mimo tego, że nie otrzymają owych 12 kilogramów, a jedynie 10, rynek łódzki zostanie szybciej zaopatrzony w dodatkowy cukier. W Leśmierzu

dyrekcja, członkowie partii i „Solidarność” są zgodni co do jednego: dać jak najszybciej cukier do sklepów, aby ów 1,5-kilogramowy przydział stał się faktem.

Rozmawiałem z I sekretarzem tułejkiej POP Zygmuntem Kaźmierczakiem i przewodniczącym komisji zakładowej „Solidarności” Tadeuszem Arentem, chcąc dowiedzieć się jak przebiega tegoroczna kampania, jak jest przygotowana cukrownia, jakie nastroje są wśród załogi, która teraz, w sezonie, liczy ponad 700 osób. Z ich wypowiedzi wynika, że plantatorzy, choć są hodowcami z wieloletnim doświadczeniem, nie zawsze radzą sobie w czasie zbiorów buraków. Wiadomo, wieś polska starzeje się, a praca przy hodowli buraków jest ciężka. Niełatwo jest zebrać liście z kilku hektarów, a co dopiero wyorać z ziemi kilkukilogramowe bulwy nie mając do tego potrzebnych maszyn. Fachowcy twierdzą, że produkcja cukru rozpoczyna się już na polu. Od

tęgo czy plantator od razu zbierze cały plon i złoży go w niewielkie przemyki czy też po „ogłowień” z liści zostawi buraki w ziemi, zależy ilość cukru jaki trafi na półki sklepowe. Burak pozostawiony w ziemi traci zawarty w nim cukier, po prostu zużywa go na własne potrzeby.

Plantatorzy coraz bardziej narzekają na brak potrzebnych maszyn i twierdzą, że jak tak dalej pójdzie, okres zbiorów będzie coraz to się wydłużał. A czym to grozi nie trzeba przypominać. Strata cukru będzie następować dwukrotnie: raz — ze względu na późny zbiór, dwa — ze względu na przedłużoną kampanię cukrowniczą. W konsekwencji dojdzie do tego, że zamiast owych 12 kg z kwintala, będzie się otrzymywać 2 lub 3 kilogramy czystego produktu. Palącą koniecznością są kombajny buraczane, ale prywatni plantatorzy ich nie posiadają (są przydzielane jedynie spółdzielniom). Pozostają więc nadal plug i ludzkie ręce.

Chcemy cukru, czekamy na przetwory warzywne, na kompoty, na ciastka i słodkie pieczywo, chcemy słodzić herbatę i kawę, przyrządzać leguminy. Chcemy, by cukier był dostępny w wolnej sprzedaży. Natomiast nikt jakoś nie postulował, by rolnikom, zajmującym się hodowlą buraków cukrowych, przydzielać maszyn, sprzęt i nawozy. Burak cukrowy zawiera m. in. cukier, celulozę, pektyny, saponiny, białka, potas, sód, wapń, magnez, żelazo, fosfor, siarkę, krzem, chlor, aminokwasy itp. Oczywiście cukru jest najwięcej, ale też i traci go burak najwięcej wskutek zlego z nim obchodzenia się. Mówiłem już o stratach, kiedy bulwy pozostają po obcięciu liści w ziemi. Ale cukier ulega zniszczeniu jeśli buraki są składowane w zbyt wielkie przemyki (samoczynne zaparzenie); podczas oddychania (spalanie cukru); w czasie transportu hydro-mechanicznego oraz mycia w płucze, szczególnie buraków uszkodzonych mechanicznie lub przez mróz, albo mytych w zbyt gorącej wodzie; na skutek działania drobnoustrojów i enzymów. Aby temu zapobiec, praca plantatorów i cukrowni musi być zsynchronizowana, wynikać jedna z drugiej, być całością rozłożoną na dwa etapy.

Teraz w Leśmierzu trwa mobilizacja. Po ubiegłorocznej kampanii wiele podzespołów maszynowych wymagało wymiany, maszyny były poddane naprawom. Wszystkie wirniki i łożyska zostały wyrzucone. Kiedy cukrownia zostaje uruchomiona, jej praca trwa bez przerwy przez trzy, czasem cztery miesiące. W halach produkcyjnych panuje upełna, ludzie pracują w samych kąpielówkach, natomiast inni, przy przymach, są narażeni na ciągłe przebywanie w wodzie i w niskich temperaturach jesieni i zimy. Produkcja cukru przebiega przy udziale wody: czyszczenie buraków, płukanie itp. Woda pomaga, ale i niszczy. Rury z 8 mm metalu po trzech miesiącach stają się cienkie jak bibułka. Stąd dziesięć lat temu, w okresie wyjątkowej pracy przygotowawczej do następnej kampanii, teraz, w przededniu rozpoczęcia produkcji, trwa próba rozruch kotłów i turbin. Wzgięć jest, powiedziałbym nawet, jest go sporo, dostawy trwają nadal i jeśli nie nie zakłóci tego rytmu, nie będzie w Leśmierzu żadnych postojów ani przerw.

Odrębną rzeczą są pracujący tu ludzie. Część z nich jest związana z cukrownią na stałe, tu mieszkają w o-

EUGENIUSZ IWANICKI

SŁODKI PROBLEM



Foto: R. Lucyszyn

ZDROWIE

„Historia wojen zna wiele bitew przegranych nie na polu walki, lecz wskutek panującej w oddziałach czerwoni” (WEP PWN t. 2, s. 745).

Skutki niedostępności środków higienicznych pod postacią mydła i mieszanin piorąco-czyszczaco-dezynfekujących są już widoczne pod postacią „zaskakującego” wzrostu popytu na lek pod nazwą delacet. Jest to płyn przeciw wszawicy, zawierający wyciąg z nasion ostróżki, kwas octowy i spirytus. Aczkolwiek moc alkoholu wynosi ok. 58° to nie wydaje się, aby delacet wykupywali trunkowcy, chociaż cena za 100 g wynosi 15 zł (4,50 zł dla ubezpieczonych) co by dawało litr wódki po rewelacyjnie niskiej cenie. Wewnętrzny zażywanie delacetu skutecznie zapobiega tak wysokie stężenie kwasu octowego jak i niezbyt miłe działanie alkaloidów ostróżki — ziela, od niepiętnych czasów stosowanego przeciw insektom.

Masowo wykupywany delacet stosowany jest jak najbardziej zgodnie z przeznaczeniem Chmara bowiem dzieci oraz nastolatki powróciła z kolonii, obozów, z wakacyjnych wojaży, z wszawic — a to dzięki fizycznej niemożności przestrzegania podstawowych zasad higieny osobistej i zbiorowej, która to niemożność spowodowała brak środków myjących i piorących.

Wróćmy z wakacji wprost na ławy szkolne. Dobrze, jeśli rodzice — w porę zorientowali się w sytuacji — zatrzymali je na domowej kuracji. Gorzej jeśli rodzice o insektach i dzieci nie wiedzieli (nie wiedzą) albo wiedząc sprawę zbagatelizowali a to z bez troski, a to ze wstydu, a to z niewiedzy o zwyczajach tego insekta. Wesoło jest bowiem nie rodzić „z niczego” tylko się przenosić z człowieka na człowieka, przy czym brud sprzyja tej płodności i migracji. Wystarczy, aby jedno dziecko przyszło do klasy z wszawicą, a po ułynie czasu mało-wielu wesz opanuje resztę klasy; a przez uczniów —

również rodziców oraz ich zakłady pracy.

Uwagi te, to nie panikarstwo. Piszę, ponieważ na własne oczy widziałem wszawicę u dzieci powracających z wakacji AD 1981. Wszy wykrywają u siebie również studenci oraz ich profesorowie.

O wyższe uczelnie nie warto się martwić. One poradzą sobie z problemem, traktując sprawę jak zwyczajny dopust. Jednak o szkoły podstawowe i średnie należy się martwić. A również o przedszkola, szpitale i inne instytucje opiekuńcze i wychowawcze. Należy natychmiast zacząć staranne przeglądy, a po przeglądach rygorystyczne leczenie. Jeżeli tego nie uczynimy, to możemy być pewni pojawienia się tyfusu zwanego dudem i czerwoni zwanego dezynterią, nie wspominając o świerzbie, kurczakach i innych chorobach, typowych dla czasu wojennego. Tylko bowiem wojna jest w stanie wytłumaczyć brak mydła na rynku. A jeżeli wojny nie ma, a mydła brakuje, to w tej kwestii musi być wyjątkowa głupota i karygodna krótkowzroczność.

Nie na darmo stopień kultury społeczeństw określano kiedyś ilością zużytego mydła i jego pochodnych na głowę obywatela. Nie na darmo podczas II wojny światowej oddawano nawet chleb za kawałek szarego mydła. Wtem co mówię, albowiem chociaż ciągle głodny, to jednak w miarę często byłem przez matkę szorowany do przyszłowiej siódmej skóry w balii z mydłami, i to szczotką rżwową, której u nas też nie znaleźć na rynku. Włosy następnie myto mi octem (odlepia gnidy!) a następnie czesano tzw. gestym grzebieniem — też nieznanym naszymu rynkowi, chociaż służy nie tylko do wyczesywania insektów ale i łupieżu, przy okazji nieźle masując skórę i zapobiegając łysieniu znacznie skuteczniej, niż eliksir Banfi. A działa się to na tzw. zapadłej wsi, gdzie kołtun był

sprawą zwyczajną! I chyba w sporej mierze właśnie dzięki tej balii i temu grzebieniowi oraz prasowaniu odzieży żelazkiem „z duszą”, przeżywałem lata 1940—45 nawet bez świerzb. Wszy ze świerzbem, kurczaki, a również glisty i solitera dostałem dopiero w szkole — no ale były to czasy powojenne. Wszy dostałem rów-

do rzeczywistego i bezapelacyjnego pohańbienia, albowiem brudny bywa człowiek zwykle z własnej woli i wyboru.

O stanie ubikacji polskiej wspominać nie będę. Sprawa była aktualna i za Sławoja-Skłodkowskiego i za Gierka; ma tysiącletnią historię za sobą, i zapewne taką samą przyszłość przed

Stanisław J. Knypl

czekać na

nie i teraz, po wakacjach 1981! Myślę, że to samo stwierdziło wielu innych nauczycieli, wychowawców i rodziców!

Myślę, że w warunkach deficytu wszystkiego — (a zwłaszcza zdrowego myślenia!) — nadanie priorytetu importowi mięsa zamiast mydła wystawia naszej administracji i służbie zdrowia jak najgorszą cenzurkę, żeby oszczędzić określeń w rodzaju obskurantyzmu. Myślę, że napięcie na import mięsa i protestowanie przeciw obniżeniu jego racji — zamiast protestu przeciw brakowi mydła, wystawia naszym związkom zawodowym nie najlepszą cenzurkę z przedmiotu, zwanego troską o przyszłość narodu i zdrowie pracowników.

Głód nie hańbi, ponieważ zwykle bywa nastawiony przez los. Natomiast brud stanowi powód

sołą. O papierze toaletowym jednak wspomnieć należy, ponieważ pamiętamy czasy, gdy było go w bród. A i teraz nie ma powodu, aby papier marnowany przez bezdurną propagandę i nie mniej bezmyślną biurokrację nie przeznaczyć na produkcję chusteczek higienicznych, pieluch, podasek, ręczników jednorazowego użytku i papieru toaletowego. Jak i nie ma powodu, aby nie produkować proszku do zębów, w miejsce pasty zużywającej bezcennie aluminium na tubki.

W czasie II wojny światowej też próchnicy nie miałem, chociaż „mleczaki” są bardzo na nią podatne. No ale wtedy żeby czyścić się kreda utłuczona w móżdżku ze szpilek i sosnowymi, suszoną miętą, szafwą i innymi ziołami — dezynfekującymi, a jednocześnie do-

sadzie zakładowej (cukrownia w roku ubiegłym oddała swoim pracownikom budynek mieszkalny dla 45 rodzin, a w tym roku przekaza kolejną dla 40 rodzin). Większość zatrudnionych to ludzie młodzi. Niedawno pożegnano tu ostatniego z weteranów, który pracował w Leśmierzu 40 lat. Jak twierdzi dyrektor Stanisław Jęzak, ludzie tu są na pracę pazerni, pracują dobrze, choć w kraju nie jest najlepiej i zaopatrzenie w żywność jest fatalne. Mimo to nie notuje się spadku wydajności, raczej podnoszenie kwalifikacji, zdobywanie podwójnych zawodów. Np. w czasie produkcji ktoś pracuje jako gotowacz cukrzy, natomiast latem przedzierga się w ślusarza. W większości przychodzi tu z wiosek, z Łęczycy, z Ozorkowa, niektórzy zajmują miejsca po rodzicach. Nie każdy wytrzymuje kółokrót jaki jest w czasie kampanii, nie wszystkim odpowiada praca non stop w piątek i w świętek. A zarobki są dość zróżnicowane: od 6 do 14 tys. zł miesięcznie. Jednak by zarobić tę czteronaszkę trzeba nie wychodzić prawie z cukrowni. A tu nie ma odzieży ochronnej, przede wszystkim butów gumowych i gumowo-filcowych, nie ma czym umyć rąk, bo od dawna brakuje proszków i mydła. Zamówienia są złożone gdzie trzeba — i cisza. Za parę dni ruszy produkcja, a bez butów gumowych nikt nie wyjdzie na rozlewające się dookoła bloko...

Raz jeszcze oddajmy głos dyrektorowi: — To, że pracuje się tu jak pracuje, należy zawdzięczać ludziom. Niektórzy z nich mieszkają wiele kilometrów stąd i im nie opłaca się codziennie jeździć do domu tylko po to, by przespać się zaledwie kilka godzin. Dlatego też np. w Wigilię Bożego Narodzenia ludzie na halach dzielą się opłatkiem, a w Nowy Rok przy kotłach składają sobie życzenia. I tak bywa od lat. Dlatego też z taką zalogą można zżładać wiele. Gdyby tak jeszcze mieć dobre drogi...

Istotnie, droga przed samą cukrownią wymaga naprawy, a gdy znajdzie się tu ciężki sprzęt samochodowy, gdy zacznie się zwózka buraków, zabieranie melasy i wysłodków, transport gotowego cukru, istniejąca nitka kruchego asfaltu zamieni się w safari. Teraz do Ozorkowa jeździ się z Leśmierza trasą dookoła, przez Sierpów, choć jest krótszy przejazd przez Parzycę. Ale tamta droga jest wąska, szutrowa, z wadłami. Gdyby tak tę drogę zaadaptować dla transportu cukrowniczego! Byłoby bliżej i ludziom do pracy i transportowi cukru do łódzkiego magazynu. Zresztą z nawierzchnią są inne kłopoty: oto rozpoczęło zakładanie rur obok jezdni. Wykopano rowy, ułożono rury... i przestano się tym zajmować. A tu lała dzień zjawia się kamazy i stary.

Finalnym produktem z buraka cukrowego jest cukier. Zawiera on 99,8 proc sacharozę. Cukier jest źródłem łatwo dostępnych kalorii, 1 kg dostarcza organizmowi 3.943 kcal, nadto jest łatwo strawny i zawiera właściwości dietetyczne oraz smakowe. W sumie występuje u nas w siedmiu odmianach: jako kryształ grubo, kryształ średni, kryształ drobny, kryształ drobny specjalny, kryształ grysik, kryształ niesegregowany oraz puder. Ale nim natrafimy w sklepiech na wszystkie te asortymenty musimy zmienić stosunek ludzi odpowiedzialnych za rolnictwo i przemysł do wielkiej galezi przemysłu spożywczego, jakim jest cukrownictwo.



Dalszy ciąg ze str. 1

iz chłopci muszą zdać się na samowystarczalność, bo na większe dostawy pasz ze strony państwa nie ma co liczyć.

Stąd też wleś dostarcza zboże na skup, ale w zmniejszonych ilościach. Decyduje tu „chłopski rozum” i zdrowy rachunek ekonomiczny. Ostatnio bowiem rząd zapewnił rolników, iż w przyszłym roku za dostawę tuczników i wołców będą mogli nabyć atrakcyjne towary, m. in. ciagniki i maszyny rolnicze. Chłopi w to wierzą i mają nadzieję, że poszukiwanych środków produkcji będzie naprawdę więcej.

Dzisiaj za pieniądze uzyskane ze sprzedaży piodów rolnych chłopci niczego nie kupią. Pieniądz ukryty w „skarpetce” z dnia na dzień traci na wartości. Złożony w PKO również traci, a straci jeszcze więcej po reformie cen. Natomiast zboże nigdy nie traci na wartości. A już na pewno nie spadnie cena żywności. Świnie żrą w chłopskiej chlewni chłopskie zboże i przybierają na wadze, aby po reformie osiągnąć właściwą cenę. Jednego więc możemy być pewni: po 1 stycznia nastąpią znacznie zwiększone dostawy zbóż oraz wieprzowiny i wołowiny.

Ale taka postawa chłopów wcale nie decyduje, że tu i ówdzie brakuje mąki na chleb. Ci, którzy twierdzą, że nie ma mąki, bo nie ma ziarna, opowiadają zwykłe bzdury. Zboże jest, ale całe nieszczęście zaczyna się i kończy w młynach.

W ubiegłym roku, przy o wiele niższych zbiorach, polskie zboże trzeba było mleć w Czechosłowacji. Stało

GDZIE JEST MAKA?

się tak dlatego, że najpierw część młynów prywatnych młynów upanostwowiono. Pozostali „przy życiu” prywatni młynarze nie mieli prawa przemianu dla instytucji państwowych. A że chłopci przywozili do młynów coraz mniej zboża, bo pasze mogli kupić od państwa, a chleb w sklepie, gdyż stał się bardzo tani, młynarze plajtowali i zamykali swe warsztaty pracy. Tym bardziej, że podatki były wysokie, a opłaty za przemiał niezwykle niskie.

Młyny powoli ulegały dewastacji. Budowaliśmy natomiast (poza młynarstwem) wszystko co „największe w Europie lub w świecie”. Plaga gigantomanii sprawiła, iż ktoś bez wyobraźni rozkazał przed kilkoma laty zlikwidować jedyną w kraju małą fabrykę, produkującą wyposażenie dla młynów. Mamy natomiast fabrykę, która wytwarza urządzenia do przemianu ziarna, ale tak wielkie, że nie mieszczą się w małych młynach.

Młyny i młynarze zostali właściwie skazani na zagładę. Do ubiegłego roku place były tak śmiesznie niskie, iż ostatni fachowcy pozostawiali się gdzieś indziej, a nowych nie przybyło, bo niby skąd? Na paradoks za-krawa fakt, że w Polsce — kraju legendarnych młynarzy, utrwalonych nawet w literaturze pięknej — jest tylko jedno technikum młynarskie, w którym uczą się prawie same dziewczęta, aby potem usiąść za biurkami w geesach.

Nieliczne młyny usiłowano modernizować „łatać dziury”, ale taka pro-wizorka niczego nie dawała. Prawie wszystkie młyny w Polsce wymagają generalnych remontów i modernizacji, polegającej chociażby na tym, iż by można odbierać zboże luzem, co znacznie potania transport i zwiększa tempo produkcji. Najgorsze, że nie stać nas na nowe inwestycje, a tymczasem do tej pory młynów w ogóle się nie budowało. Kiedy więc wiosną tego roku tak nieszczęśliwie spłonął wielki młyn w Pabianicach, skutki tego pożaru odczuła nie tylko Łódź, ale cała Polska.

Dopiero rząd generała Jaruzelskiego docenił wagę sytuacji. Ostatnio premier powołał pełnomocnika rządu do spraw młynarstwa, który być może szybko wznowi produkcję urządzeń do nieczynnych młynów, szcze-

gólnie tych małych. Obecnie młynarze zarabiają już 8—10 tys., ale na półrocznej zmiany. Być może zachęci to ludzi do podjęcia pracy w tej branży. Wciąż jednak jest ich za mało, toteż trudno utrzymywać produkcję w wolne soboty. Przy obecnych trudnościach rynkowych wzrost spożycia pieczywa stał się całkiem naturalny. Po ciężkim przedśwoku wzrosło więc zapotrzebowanie na mąkę, której szczupła baza młynarska nie jest w stanie dostarczyć we właściwych ilościach. Ponadto z jednego młyna trzeba wozić mąkę do dziesiątków odległych piekarni, co jeszcze bardziej komplikuje sytuację. I dlatego właśnie tu i ówdzie brakuje czasu mąki.

Wracając zaś do bulwersujących społeczeństwo „przejadanych” milionów dolarów, chciałbym wyjaśnić, że można tego uniknąć, chociaż nie odrazu. Otóż Polska faktycznie jest potentatem w uprawie żyta. Na świecie sieje się tego zboża mało, jego obroty w handlu stanowią znikomy procent w stosunku do pszenicy. Żyto jest mniej wydajne, toteż rolnikowi musi się opłacać jego uprawa. Tymczasem u nas ceny skupu czie-

rech zbóż są równe. A dziś na świecie cena pszenicy spada do 130 dolarów za tonę, natomiast żyto „stoi” na 160 dolarów. Gdyby zwiększyć wydajność i areal żyta, które w Polsce zjadają świnie i bydło, można by je eksportować, a za uzyskane nadwyżki dewizowe kupować pszenicę lub kukurydzę. Ta ostatnia nie daje u nas wiele ziarna, a jako pasza niezbędna jest do hodowli drobiu.

Już dziś handel i przemysł spożywczy nie są w stanie przyjąć i zagospodarować nadmiernych ilości kapusty. Wydaje się, że to samo stanie się z ziemniakami, które będą podgrywać w kopcach. Gdyby handlowcom nie brakowało śmiałości decyzji i operatywności, można by te nadwyżki wyeksportować i kupić w zamian kukurydzę lub pszenicę. Założenie, iż eksport piodów rolnych, w tym również zboża, może przysporzyć krajowi milionów dolarów, nie leży wcale w sferze fantazji.

RYSZARD BINKOWSKI

Foto: R. Łucyszyn



starzejacymi działom witamin i mikroelementów. Pobila ten proszek jedna babka-znachorka dla całej wsi, zabitej deskami! Przeto próchnicę zębów dostaliśmy już po zrealizowaniu pierwszych ambitnych planów industrializacji. Trzeba bowiem dodać, że szczoteczki dla całej okolicy też wyrabiał człowiek, oczywiście bez

zoncie — mimo wciąż pieniającej się zarazy brudnych intencji — widmo choroby brudnych rąk. Tych dosłownych: rąk, chorób i brudów. Usiłując drapać innych po miejscach, które nie zawsze swędzą, a często są najzupełniej zdrowe, nie czekajmy pory, gdy mądra i sprawiedliwa Natura zmusi nas do drapania się własnymi rękami.

życzy. A życzył będzie skromnie — na co wskazują nie tylko statystyki, lecz i bezstronne obserwacje tubylców nad zachowaniem się polskich turystów a to nad Bałatonem a to nad Tamizą.

Do współobywateli zaś apeluję, i proszę, o dokonanie powszechnego przeglądu głów w żłobkach, przedszkolach i szkołach, w zakładach pracy i w miejscach rozrywki, oraz w domach. Można zespołowo, ze sztafardami i plakatami; można i najzupełniej intymnie — byleby szukać u siebie, a nie u sąsiada. Sugeruję, aby każdy z wolnej woli poddał się następnie kuracji leczniczej, która jest prosta i bezbolesna. Kurację taką warto przeprowadzić nawet w przypadku, gdy ogledziny wykazały czystość głowy i łona — a to dla profilaktyki i z życzliwości dla sąsiadów; z solidarności; a również z poszanowania dla wiedzy, iż nie było dotąd na świecie kontroli, która by czegoś nie przecoczyła, albo na coś oczu nie przyrykała. Jak i nie zdarzyło się jeszcze na świecie, aby samo kontrolowanie wystarczyło za właściwe budowanie. Gdyby taka kontrola istniała, i gdyby taką moc miała, to by nie było tej całej sprawy.

Sugeruję też, aby po kuracji każdy zażył kąpieli, gorącej, nie czekając nadejścia pory Wielkiej Nocy. Inaczej sprawi nam łaźnię co się zowie, ta Wielkanoc, gdy dalej będzie oczekiwana — na leżąco. Kiszki, czygające krwią, nie przyjmą ani komunii świętej ani mięsa z importu. Zimę mamy już — a jest to pora, wielce sprzyjająca wszy, temu stworzeniu powołanemu do istnienia przez miłosierną Naturę gwoździ zarcia narodu, zanim ten zdąży sam zżreć się między sobą.

7. IX. 1981 r.

1) Całkowicie obcej mi manieri używania słów tzw. mocnych nie potrafię inaczej wyjaś-

nić, jak tylko zakażeniom przez słuchanie wywiadów autoryzowanych tudzież czytanie prasy cenzurowanej i niecenzurowanej. Tak na przykład o rzyganiu krwią — co mnie jako biologowi kojarzy się z gruźlicą albo z czerwonką ewentualnie z wrzodem na żołądku lub jelitach — mówił jeden w TV, a powtarzali inni. O pluciu obwieścił drugi. Prawda — o moim zafajdaniu (to już klasyka, to określenie — dziś by należało użyć słowa na „z”) świadczy fakt, iż użyłem „zadka” ze słownika prababki, zamiast precyzyjnej „d”. O „mendach komunistycznych” czytać można było na plakacie, przypiętym na łódzkiej ulicy Marcelego Nowotki. Tym samym koło skojarzeń zamknęło się, ponieważ jak stwierdza WEP PWN w t. 12: „na człowieku pasożytuje wesz głowowa, *Pediculus capitis*, wesz odzieżowa, *P. vestimentis*, uważana często za jeden gatunek *P. hominis*, oraz wesz łonowa, zwana mendowską”. Ze zaś plakat wisiał tuż przy liceum im. Sczanieckiej można przypuszczać, iż anonimowi autorzy wcześniej odkryli plagę, zagrażającą naszej młodzieży. „Komunistyczna” dodano zapewne w charakterze modnego ozdobnika, podkreślającego wagę sprawy w kategoriach ogólnych: wesz a sprawa polska.

Tak czy inaczej, z jednej wszy po 3—4 tygodniach mamy już wszy co najmniej 14! Zbyt szybko się mnożą, aby można było organizować dyskusje i referenda. Tu trzeba działać. Zwłaszcza, że wesz nie odróżnia kto czym jest synem, ewentualnie jakim jest synem, ani co chce zbudować ewentualnie zrujnować; każdego „jednak ceni i szanuje — dopóki pozostaje żywy.

czerwonkę

planu, lecz w miarę potrzeb, używając drewna, wiosła i szczeciny, a nie nylonu, który choć nowoczesny zębom nie służy najlepiej.

Ja rozumiem, że można bimbać, wyłgiwać się, i leżąc czekać na cud. Jednak brudne ręce wyciągające się w górę przy głosowaniu, czy czarniawy kołnierzyk za mównicą, czy lepiące się włosy dyskutantów rozgrzanych problematyką ideowo-społeczną — to wstrząsające, delikatnie mówiąc. Ja rozumiem, że można zadek wystawiać na wiele, i wiele mleć w zadku. Mimo wszystko — podcierać ten zadek palcem, palcem tym mazać po ścianach, a potem wskazywać tym palcem na winnych: to jakości dziwnie i nieswojo, jeśli już ani nie wstrząsająco ani nie szokująco. Dla mnie zaś straszno!

Zwyczajnie strasznie. Widzę bowiem na hory-

ma po własnych piersiach i pod własnymi pachami.

Przeto żądam od administracji natychmiastowego zwiększenia importu mydlano-szampunowego. Żądam też od zespołu administracyjno-przemysłowego, aby do końca 1981 r. rozwiązało raz na zawsze problem produkcji mydła w skali kraju, i to z własnych surowców. Jeśli uczniowi z poradnikiem chemika-amatora do produkcji mydła wystarczy trochę sody, gliceryny i łożu (oddzielnego od mięsa na kartki!), miedziany sagan oraz maksimum trzy dni na warzenie i szumowanie, to naszym polskim zjednoczonym przemysłem ciężkim, lekkim i chemicznym trzy miesiące powinny wystarczyć aż nadto na wyprodukowanie każdemu obywatelowi tyłu mydeł i szampunów, ile będzie sobie

W naszej powojennej historii przeżyliśmy już raz moment nadziei na demokrację gospodarczą. Było to ćwierć wieku temu. Zrodziły się wówczas rady robotnicze, z którymi masy pracujące wiązały duże nadzieje na demokratyzację życia społeczno-gospodarczego. Ale nadzieje te okazały się pienne i pogrzone zostały w błogostanie, który wytworzyła instytucja Konferencji Samorządu Robotniczego będąca swoistym substytutem dla rzeczywistego samorządu. Obecnie w r. 1981 przy wszystkich różnicach dotyczących skali i dynamiki przeobrażeń sytuacja jest w pewnym stopniu podobna. Idea samorządu robotniczego (pracowniczego) budzi również wiele społecznych oczekiwań a oddolnie rodzące się rady pracownicze wyprzedzają, tak jak w 1956 r. regulację prawną sankcjonującą narodziny tych realnych bytów. Wprawdzie analogie do sytuacji roku 1956 są uzasadnione, to jednak podstawowym czynnikiem różniącym ówczesny i obecny stan rzeczy w omawianej kwestii jest zaistnienie po Sierpniu silnego społecznego ruchu odrodzenia samorządności pracowniczey. Ruch ten przybrał nawet formy quasi — instytucji w postaci Komisji ds. Reformy Gospodarczej przy ZG PTE, Społecznego Komitetu Reformy Gospodarczej i tzw. Sieci NSZZ „Solidarność”.

Zagadnienie samorządności zyskało sobie pełne prawo obywatelstwa w publicystyce, stało się chwytliwe, żeby nie powiedzieć modne. Wielu naukowców i dziennikarzy, nawet ci, którzy w minionym etapie gloryfikowali ideę technokratyzmu, teraz zgodnym chórem opowiadają się za reformą gospodarczą opartą na samorządzie pracowniczym. Można odnieść wrażenie, że problem samorządności cierpi na swoistą inflację; wypowiedziano w tej kwestii nieproporcjonalnie dużo słów w stosunku do czynów. Wielkim niebezpieczeństwem dla dalszych losów samorządności jest próba jej „upolitycznienia”, przez co rozumieniem przyniesienia problemu samorządu pracowniczego na płaszczyznę walki politycznej. Przejawia się to w licznych stwierdzeniach przedstawicieli władzy i „Solidarności”. Ze strony władzy formułowane są zarzuty, iż koncepcja samorządu zawarta w projekcie „Sieci” prowadzi do ubezwłasnowolnienia państwa socjalistycznego w wykonywaniu jego funkcji ekonomicznych i grozi wprowadzeniem własności grupowej do gospodarki narodowej. Natomiast niektórzy eksponowani działacze „Solidarności” lansują pogląd, że samorządy pracownicze powinny powstać z wyjątkowej inicjatywy i pod kontrolą tego związku zawodowego. Rzecz w tym — jak twierdzą owi działacze — „aby samorząd był „nasz”, tzn. „Solidarności”, a nie „ich”, tzn. oficjalnej władzy.

Przedstawione wyżej stanowiska nie mogą służyć za podstawę do konstruktywnego dialogu w sprawie samorządu pracowniczego, gdyż dominują w nich wątki doktrynalno-ambicjonalne, pozbawione merytorycznej zasadności. W takiej konwencji dyskusję o samorządności można prowadzić do przyszłościowych „kalend greckich” nie dochodząc do żadnych racjonalnych wniosków w zakresie konkretnego kształtu samorządu pracowniczego. Zważywszy ten aspekt dyskusji o samorządzie, jak również wiele innych nieporozumień towarzyszących jej, słusznym wydaje się przyjęcie kilku fundamentalnych ustaleń porządkujących tę wielowątkową debatę. Nie wyklucza to oczywiście różnic zdań w kwestiach dotyczących pragmatycznych rozwiązań respektujących jednakże owe ustalenia. W moim przekonaniu należy zaliczyć do nich następujące:

1. Samorządne przedsiębiorstwo jest powiernikiem własności ogólnonarodowej i jako takie podlega określonej nadzorowi państwowemu, którego zakres nie powinien jednak łamać zasady samodzielności przedsiębiorstwa.
2. Samorząd pracowniczy nie jest celem samym w sobie lecz istotnym elementem reformy gospodarczej dzięki któremu wyzwolone będą, jak się wydaje, silne motywacje załóg do podniesienia efektywności i jakości produkcji.
3. Samorząd jest instytucją załogi danego przedsiębiorstwa, a nie miejscem rozgrywek politycznych podejmowanych w celu sprawowania rządu dusz w zakładzie. W tym sensie samorząd pracowniczy jest organem niezależnym od wszelkich związków zawodowych i organizacji społeczno-politycznych.

Na tle tak sformułowanych ustaleń ramowych warto pokusić się o przedstawienie kilku najważniejszych — jak sądzę — problemów

spornych, których rozwikłanie ma istotne znaczenie dla precyzowania adekwatnego do oczekiwań społecznych i realiów ekonomicznych kształtu samorządu pracowniczego.

JEDNA CZY DWIE USTAWY?

Wbrew poprzedniemu stwierdzeniu rozpocznijmy swoje wywody od kwestii raczej marginalnej w porównaniu z następnymi, które dotyczą będą problemu kompetencji samorządu pracowniczego, roli dyrektora i komplikacji wynikających z funkcjonowania samorządowego przedsiębiorstwa. Rzecz dotyczy dylema-

spewny postępowanie w stosunku do skompromitowanej KSR, ale jest wstępny w porównaniu z projektem o radach robotniczych z 1956 r.

Urzeczywistnienie zasady demokracji robotniczej w przedsiębiorstwie wymaga przyznania samorządowi pracowniczemu odpowiednich uprawnień decyzyjnych w sprawach podstawowych, strategicznych dla funkcjonowania przedsiębiorstwa. Zakres tych uprawnień powinien obejmować przede wszystkim następujące zagadnienia: rozwój przedsiębiorstwa (inwestycje, postęp techniczny), określenie struktury organizacyjnej przedsiębiorstwa, kształtowanie systemu płac i premii, zawieranie umów i porozumień długotermino-

WITOLD KASPERKIEWICZ

SAMORZĄDOWE QUI PRO QVO

tu: jedna czy dwie ustawy o przedsiębiorstwie i samorządzie pracowniczym.

Jak wiadomo, projekty rządowe opracowane przez Zespół X Komisji ds. Reformy rozdziałają problematykę związaną z przedsiębiorstwem i samorządem pracowniczym na dwa akty ustawodawcze. Koronnym argumentem przemawiającym za rozgraniczeniem tych ustaw jest teza, iż ustawa o samorządzie jest aktem o wyjątkowej doniosłości społecznej. Wobec tego nie powinna ona być połączona z ustawą o przedsiębiorstwie, która ma charakter ściśle ekonomiczny.

Przytoczona argumentacja nie wytrzymuje krytyki z następujących względów:

1. Istnienie dwóch ustaw rodzi niebezpieczeństwo braku koordynacji i spójności rozwiązań zawartych w tych aktach.
2. Może powstać fałszywe wrażenie, że problem samorządu istnieje niezależnie od problemu przedsiębiorstwa.
3. Dwie ustawy sugerują wątpliwość, czy organy samorządu są organami przedsiębiorstwa.
4. Rozdzielenie owych ustaw utrudnia przyswojenie i pełne zrozumienie przez załogi wszystkich najważniejszych przepisów regulujących zarządzanie przedsiębiorstwem w warunkach reformy samorządowej.

Wprawdzie problem zintegrowania obu ustaw nie jest kwestią, o którą warto kruszyć kopie, to jednakże uzasadniony merytorycznie wydaje się postulat zgłaszany w różnych projektach społecznych, aby opracować i uchwalić jeden akt prawny o przedsiębiorstwie.

KOMPETENCJE SAMORZĄDU

Zakres i charakter kompetencji samorządu pracowniczego stanowi jądro systemu funkcjonowania zreformowanego przedsiębiorstwa. Nic więc dziwnego, że problem ten znajduje się w centrum zainteresowania opinii społecznej i jest przedmiotem ostrych sporów.

Projekt rządowy w zakresie określenia kompetencji organów samorządowych zawiera założenie, że samorząd współuczestniczy w zarządzaniu przedsiębiorstwem. W konsekwencji tego, samorządowi przyznano przede wszystkim prawo zgłaszania inicjatyw, wniosków, kontroli całokształtu działań przedsiębiorstwa, opiniowania kandydatów na dyrektora. Niedostatkami projektu są nader skąpe uprawnienia decyzyjne samorządu dotyczące w zasadzie tylko uchwalania oraz zmiany planu wieloletniego i rocznego, podjęcia inwestycji itp. W rozumieniu rządowego projektu przedsiębiorstwem w ogóle zarządza dyrektor, co wyjaśnia szczupłość kompetencji decyzyjnych organów samorządowych.

Oceniając lapidarnie ów projekt można skonstatować, iż stanowi on

wych z innymi jednostkami gospodarczymi, podział środków finansowych na cele socjalne etc. Na tle zarysowanych tu kompetencji samorządu pracowniczego powstaje pytanie — czy władza samorządu w przedsiębiorstwie powinna mieć charakter totalny? W moim przekonaniu tak rozumiany totalitaryzm klęci się z tymi założeniami systemu samorządowego, które traktują samorząd jako funkcję efektywności i rzetelności działania. Dlatego też akceptując w pełni prawo samorządu pracowniczego do podejmowania decyzji strategicznych i kierunkowych nie podziałam stanowiska przypisywanego załozom również kompetencje w dziedzinie operatywnego zarządu. Przykładem ilustrującym tego typu stanowisko jest przytoczony w artykule red. T. Soldenhoffa „Skok na głęboką wodę” („Ogłosy”, nr 35, 1981 r.) pogląd przewodniczącego Rady Pracowniczej Iłdzkiego „Majędu”, który stwierdził, iż „Rada powinna być ciałem operatywnym, mogącym w każdej chwili zebrać się i podjąć decyzję (niezależnie od nazwania dziennika)”. Kolejne diktum przewodniczącego Rady brzmi: „choćby o taki model, który stworzyłby najlepsze warunki pracy dyrektora”. Sądząc, iż wyrażona tu opinia o funkcjonowaniu samorządu nosi w sobie dwa niebezpieczeństwa. Pierwsze dotyczy powstania praktyki ciągłego sejmikowania załogi, gdyż Rada Pracownicza będzie zmuszana w wielu sprawach odwołać się do załogi, aby uzyskać jej akceptację. Drugie związane jest z podważeniem racji bytu kadry kierowniczej, która w myśl wypowiedzi przewodniczącego, wyrażona może być przez samorząd w zakresie operatywnego zarządzania. Czy na tym polegać ma „stworzenie najlepszych warunków pracy dyrektora”? Byłoby to zaiste komfortowe warunki pracy dla dyrektora, ale cała ta koncepcja jest sprzeczna z zasadami elementarnej sprawności i racjonalnego działania.

W celu zagwarantowania samorządowi podstaw do należytego funkcjonowania zgodnego z ideą demokracji robotniczej i logiką prakseologicznych zasad, słusznym wydaje się stworzenie takiego modelu podziału władzy w przedsiębiorstwie, w którym rolę parlamentu, czyli najwyższego ciała uchwałodawczego spełnia samorząd, natomiast kadra kierownicza jest sztabem realizującym ustalenia owego parlamentu i podlegającym jego wszechstronnej kontroli. Taki układ władzy zapewni kierownikom przedsiębiorstwa kompetencje decyzyjne w zakresie operatywnego zarządzania i zmusza ich do kreatywnego działania respektującego wolę samorządu.

Trudno oprzeć się refleksji, że uchwalona w przyszłości przez Sejm ustawa o samorządzie nie nakreśli w sposób szczegółowy linii podziału kompetencji między samorząd pracowniczy a dyrektora. W tej materii przydatne będą więc konkretne ustalenia wypracowane przez załogi przedsiębiorstw. Trzeba będzie nade wszystko zadbać o precyzyjne określenie obszaru spraw zastrzeżonych do kompetencji dyrektora. Pozwoli to uniknąć w przyszłości licznych konfliktów na tle nieuzgodnionych kompetencji, co — jak wiadomo — było negatywną cechą krytykowanego powszechnie systemu nakazowo-rozdzielczego.

SPRAWA DYREKTORA

Sprawa wyboru dyrektora przedsiębiorstwa zyskała w wielu dyskusjach rozgłos nieproporcjonalnie duży w stosunku do jej rzeczywistej rangi. Częstokroć traktuje się tę sprawę jako „być albo nie być” autentycznego samorządu pracowniczego. Spór o dyrektora zawiera wiele podtekstów polityczno-ideologicznych, które nie ułatwiają dyskusji o samorządzie. Niepokoić musi fakt, że ów spór zastępuje w wielu przypadkach rzeczywistą dyskusję nad optymalnym modelem samorządowego przedsiębiorstwa i jego miejscem w strukturze gospodarki narodowej.

Krytyczne uwagi co do sposobu ujęcia problemu dyrektora w dyskusjach o samorządzie nie oznaczają, iż pytanie — kto ma decydować o powołaniu i odwołaniu dyrektora przedsiębiorstwa jest bezczasadne. Odpowiedź na to pytanie jest konieczna ze względu na fakt, że sprawa wyboru dyrektora, chociaż nie stanowi w moim przekonaniu problem numer jeden samorządu, to jednak jest komponentą modelu samorządu pracowniczego.

W tej kontrowersyjnej sprawie istnieją dwa nurty reprezentowane przez twórców rządowego projektu ustawy o przedsiębiorstwie i samorządzie oraz projektu tzw. sieci organizacji zakładowych cieszącego się wsparciem NSZZ „Solidarność”.

Zgodnie ze stanowiskiem rządowym dyrektora przedsiębiorstwa wyłonionego przez komisję konkursową powoływać będzie organ założycielski. W skład takiej komisji tworzonej przez organ powołujący dyrektora — wchodzić powinni przedstawiciele organu założycielskiego, rady załogi, organizacji partyjnej, związków zawodowych itp. Warunkiem nominacji dyrektorskiej musi być uzgodnienie kandydatury z samorządem pracowniczym. Dopuszcza się również możliwość powołania dyrektora przez radę załogi. Przy tym rozwiązaniu organ założycielski ma prawo zatwierdzania dyrektora wybranego przez samorząd. Tę metodę powoływania dyrektora można zastosować — jak proponuje rząd — przede wszystkim w przedsiębiorstwach nie posiadających podstawowego znaczenia dla gospodarki narodowej.

W projekcie „lansowanym przez „Solidarność” proponuje się aby dyrektora przedsiębiorstwa powoływała w drodze konkursu załoga, która jest jedynym źródłem władzy w przedsiębiorstwie. Rozwiązanie to znosi zależność służbową dyrektora od organu założycielskiego i przyznaje się — zdaniem autorów tego projektu — do umocnienia samodzielności przedsiębiorstwa.

Zasadniczym mankamentem projektu rządowego jest próba forsowania takiego systemu władzy w przedsiębiorstwie, w którym pozycja dyrektora, czyli organu wykonawczego byłaby równorzędna pozycji rady załogi, czyli organu uchwałodawczego. Jest to rozwiązanie sprzeczne z naturą samorządowego przedsiębiorstwa i warunkami jego efektywnego funkcjonowania. Dlatego też jedynym rozsądnym rozwiązaniem dylematu dyrektora jest wprowadzenie zasady wyboru dyrektora przez załogę. Spod tej zasady powinny być wyłączone przedsiębiorstwa mające podstawowe znaczenie dla gospodarki (np. hut, komunikacji, łączności, kopalni itp.). W dziedzinach tych uzasadniona jest potrzeba zachowania wpływu państwa na decyzje dotyczące wyboru dyrektora.

Natomiast słabością projektu „Solidarności” jest pominięcie w nim możliwości powstania prawnego sporu między samorządem pracowniczym a dyrektorem oraz sposobów rozstrzygnięcia sporu. Zarzut ten formułuję na podstawie lektury dokumentu pt. „W sprawie ustawy o przedsiębiorstwie i samorządzie pracowniczym” opracowanego przez zespół KKP NSZZ „Solidarność”. Można przypuszczać, iż nieuwzględnienie kwestii owego sporu jest konsekwencją koncepcji wszechwładzy samorządu przyjętej w tym dokumencie.

PYTANIA I WĄTPLIWOŚCI

Koncepcja oparcia polskiej reformy na zasadzie samorządności zasługuje na pełne poparcie zarówno ze względów społecznych, jak i ekonomicznych. Sądząc jednak, że dla dalszych prac nad przełożeniem założeń reformy na język praktycznych rozwiązań może się okazać pożyteczne uwypuklenie pewnych niebezpieczeństw i pułapek, które kryją się w radykalnych projektach samorządu pracowniczego. Wiele z tych niebezpieczeństw wynika prze-

de wszystkim z kryzysowej sytuacji gospodarczej i dlatego mają one — jak się wydaje — charakter przemijający. Niektóre jednak mogą w sposób stały towarzyszyć systemowi samorządowemu na co wskazują chociażby w pewnym stopniu doświadczenia jugosłowiańskie. Przedstawienie „owych” niebezpieczeństw jest tym bardziej uzasadnione, że w licznych dyskusjach i publikacjach o samorządzie zdecydowanie przeważa ton optymistyczny, traktujący samorząd jako panaceum na bolączki naszej gospodarki. Z pewnością samorząd doda skrzydeł gospodarce narodowej, ale jest chyba sprawą bezsporną, że będą to skrzydła ciężkie, a odbicie się od dna gospodarczego wymagać będzie wielu wyrzeczeń.

Najbardziej niepokojącym objawem kruchości radykalnych projektów dotyczących samorządu pracowniczego jest iluzoryczne wręcz założenie o pełnej niezależności samorządu od instytucji państwa socjalistycznego (przede wszystkim organu założycielskiego). Wydaje się, że u podstaw tego założenia legło zbagatelizowanie reperkusji wypływających z zasady samofinansowania przedsiębiorstwa. Zasada ta będąca warunkiem efektywności ekonomicznej wprowadzi do gospodarki reguły gry zbliżone do Darwinowskiego prawa: „przystosuje się lub zginie”. Najtrudniejszym aspektem zasady samofinansowania jest problem odpowiedzialności placowej załogi za wyniki finansowe przedsiębiorstwa. Załogi przedsiębiorstw powinny mieć świadomość tej odpowiedzialności już teraz, aby później na etapie funkcjonowania nowych zasad ekonomicznych nie było przykrych rozczarowań i nowej fali protestów. Obowiążkiem budżetu państwa powinno być łagodzenie trudności placowych przedsiębiorstwa przez ustanowienie na przykład funduszu gwarantowanych płac. Okaze się to niezbędne zwłaszcza w początkowej fazie wprowadzania reformy, kiedy wiele przedsiębiorstw nie w swojej winy, lecz z powodu rozgardiaszu materiałowo-kooperacyjnego znalazło się w skomplikowanej sytuacji finansowej. Ochronne działania budżetu państwa powinny być ograniczone zarówno pod względem poziomu wynagrodzenia, jak i czasu. Powszechnie zastosowania owych działań przyczyniły się bowiem do podważenia zasady samofinansowania przedsiębiorstw.

W obecnym stanie gospodarki realnym niebezpieczeństwem wynikającym z pełnej samodzielności przedsiębiorstwa może być wykorzystywanie przez producentów napięć rynkowych w celu maksymalizacji zysku. Szczególne zagrożenie dla interesu ogólnospołecznego wynika z pozycji monopolistycznej wielu producentów, którzy przy pomocy manipulacji cenowych (władowanie cen) będą mogli osiągnąć łatwy zysk. Tamę praktykom monopolistycznym powinna położyć ustawa antymonopolistyczna rozbijająca dotychczasowe struktury organizacyjne przedsiębiorstw sprzyjające dyktatowi producentów wobec odbiorców. Przede wszystkim trzeba zastąpić w drodze zmian organizacyjnych przemysłową sytuację, w której istnieje czysty monopol (wyłącznie jednego przedsiębiorstwa) przez sytuację oligopolistyczną, w których pozycje monopolistyczną posiada co najmniej kilka przedsiębiorstw wytwarzających dane produkty. Oligopol jest korzystniejszy ekonomicznie i społecznie od czystego monopolu, gdyż pozostawia odbiorcy produktów pewien wybór i wprowadza pewne elementy konkurencyjności zapobiegającej zastojowi, zwłaszcza w dziedzinie innowacji produkcyjnych.

Praktyka funkcjonowania samodzielnych przedsiębiorstw ujawniła całą ostrość sprzeczności między placami i zyskiem. Oddanie sprawy plac w gestię załogi spowoduje silny nacisk na ciągi icht wzrost, co może negatywnie wpłynąć na wysokość zysku, który stanowi podstawę tworzenia funduszu rozwoju przedsiębiorstwa. W związku z tym mogą włączyć górę w przedsiębiorstwach tendencje konsumpcyjne czyli krótkookresowy interes załogi kosztem interesu długookresowego, który zabezpiecza inwestycje i postęp techniczny. Przezwyciężenie owych tendencji nie będzie łatwe, gdyż dotychczas w naszej gospodarce siła była i jest po stronie żądań i nacisków placowych, a nie po stronie logiki ekonomicznej.

Przytoczone uwagi nie kwestionują słuszności podstawowych założeń koncepcji samorządu pracowniczego w przedsiębiorstwie. Zgłosiłem je w przeświadczeniu, że wkraczając na nową, nieznana dotąd drogę warto znać niebezpieczeństwa czyhające na nas przed osiągnięciem celu. Na wielu odcinkach będzie to droga ciernista, a nie — jak można wnioskować z niektórych pełnych euforii samorządowej projektów — droga gładka i szeroka.

Dalszy ciąg ze str. 1

szczenia ograniczało się do więźniów politycznych. W okresie międzywojennym pomoc „Patronatu” została rozszerzona także na więźniów kryminalnych. Stowarzyszenie odegrało na tym polu ogromną rolę, bo dzięki niemu, korzystając z pomocy najbardziej postępowych elementów społeczeństwa, w pewnym okresie czynnym jego działaniem były także osoby takie jak Stefania Sempolowska, która później zasłużyła się w Międzywojennym Organizacji Pomocy Rewolucjonistom, pisarka Helena Krahelska, i prezes Sądu Najwyższego Leon Szepliński. Członkiem „Patronatu” był także prezes Sądu Apelacyjnego w Warszawie Kazimierz Rudnicki. Działalność tych ludzi dowodzi, że Polska miała w okresie międzywojennym wielu światłych sędziów.

— Jakimi były zasady działania tego stowarzyszenia?

— „Patronat” w tym okresie stawał w obronie wszystkich więźniów i rozciągał nad nimi opiekę, zajmował się także opieką postpenitencjarną, co miało szczególne znaczenie w zapobieganiu powrotowi na drogę przestępstwa. W Zbojnej Górze pod Warszawą stowarzyszenie prowadziło specjalny dom dla dzieci osób przebywających w zakładach karnych. Była to więc duża i preżna organizacja, posiadająca swoje oddziały w całym kraju, a w jej szeregach znalazło się znowu wielu adwokatów. „Patronat” subsydiowało państwo, posiadało także własne środki uzyskane z organizowania różnych imprez. Autorytet organizacji był tak wysoki, że delegaci „Patronatu” mieli wolny dostęp do więźniów i możliwość rozmowy w cztery oczy ze skazanym, bez obecności strażników. Autorytet „Patronatu” uszanowali nawet Niemcy w czasie okupacji, przynajmniej do momentu, kiedy strażnikami w więzieniach byli Polacy. Dopiero w roku 1942, gdy gestapo zorientowało się, że „Patronat” może być wykorzystany do walki z okupantem, zlikwidowało tę organizację.

— Czy oznacza to, że „Patronat” nigdy już się nie odrodził?

— W roku 1945, po wyzwoleniu, ludzie z dawnego „Patronatu” uzyskali zgodę władz na wznowienie działalności. Organizację próbowano odbudować i częściowo się to powiodło. Ale już w roku 1948, kiedy zaczął się ostry kurs polityczny, „Patronat” został zlikwidowany przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego.

— A więc „Patronat” ma swoją historię i martyrologię.

— To jest historia, ważne karty historii. Nawet w obecnym, tymczasowym zarządzie mamy członka władz „Patronatu” w okresie międzywojennym, w czasie okupacji i zaraz po wojnie. Jest to adwokat Karol Pedowski.

— Ta ciągłość dowodzi żywotności samej idei „Patronatu”. Jakim był echa apelu do władz w sprawie reaktywowania „Patronatu”?

— Trzeba przede wszystkim stwierdzić, że apel podpisało wiele osób z dużym autorytetem moralnym i społecznym. Jego sygnatariuszem był m.in. ksiądz Jan Zieja, naczelny kapelan Powstania Warszawskiego, pisarka i działaczka społeczna Halina Audenska, poślowie Holoubek i Małczyński, prezes PAN prof. A. Geysser. Wśród podpisów jest wiele wybitnych nazwisk z kręgu kultury polskiej, a także z Episkopatu. Nie ulega wątpliwości, że mamy tu do czynienia z autentyczną inicjatywą społeczną.

Skutkiem apelu było powstanie 16-osobowego Komitetu Założycielskiego, który stworzył projekt statutu i przesłał go do Urzędu Miasta Warszawy z prośbą o zarejestrowanie stowarzyszenia. Dość szybko nadeszła odmowna odpowiedź. Dowodzona w niej, że taka organizacja jak „Patronat” nie ma racji bytu, gdyż zadania jakie sobie stawia spełniają już Polski Czerwony Krzyż, czy Polski Komitet Opieki Społecznej oraz Ministerstwo Sprawiedliwości.

— Jak zareagował Komitet Założycielski „Patronatu” na ten typowo biurokratyczny sposób potraktowania tak ważnej inicjatywy?

— Nie ukrywam, że wystosowaliśmy prawdziwie ostrą odpowiedź przedstawiającą dramatyczną sytuację więźniarstwa. Powołaliśmy się także

na tradycję „Patronatu”. Po dwóch miesiącach zostaliśmy zaproszeni do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdzie w departamencie społeczno-politycznym przyjęto nas więcej niż kurtuazyjnie. Dyrektor tego departamentu osobiście podziękował nam za inicjatywę. Stwierdził jednak, że władza rejestracyjna posiada drobne zastrzeżenia do statutu. Zdecydowaliśmy się na wprowadzenie autokorektur i wówczas departament uchylił decyzję prezydenta Majewskiego. Zostaliśmy zarejestrowani. Była to bez wątpienia ważna decyzja polityczna władzy i do brzo, że została podjęta.

— A więc od tej chwili rozpoczęła się legalna działalność stowarzyszenia?

— Ani przez chwilę nie działaliśmy nielegalnie, ale rejestracja stworzyła nowe

naszego stowarzyszenia. Jest to tym ważniejsze, że w momencie, gdy sprawa naszej rejestracji natrafiła na przeszkodę, zostało stworzone Polskie Stowarzyszenie Penitencjarne, na którego czele stoi doc. Szymanowski. Wiem o tym z prasy. Sprawa wzajemnych stosunków między obu stowarzyszeniami o podobnych celach zajmie się nowy zarząd „Patronatu”, który zostanie wybrany na walnym zgromadzeniu. Chcemy, poprzez odwołanie się do opinii publicznej, wpłynąć na humanizację warunków w polskich więzieniach. Chcemy sprawić poprawę wyżywienia, wyrugowanie przypadków bicia więźniów, zaniechania pracy więźniów w kopakach. Chcemy działać jawnie i niezależnie pod warunkiem, że będziemy mieli prawne możliwości do

— A więc realizacja zadań jakie stawia sobie „Patronat” może być od początku bardzo trudna? Czy stowarzyszenie ma zamiar zająć się problemem więźniów politycznych?

— W naszym statucie jest wyraźnie podkreślone, że opieką stowarzyszenia zostaną objęci wszyscy więźniowie, niezależnie od charakteru przestępstwa, za które zostali skazani. Wynika to z głęboko humanitarnego charakteru naszej organizacji. Chyba z tych względów Klub Inteligencji Katolickiej udostępnił nam pokój z telefonem, a dział interwencyjny „Solidarności” rejonu Mazowsze przyznał nam skromne fundusze na rozruch działalności.

— Czy wiadomości o powstaniu „Patronatu” dotarły do ludzi odbywających kary pozbawienia wolności?

— Jak dotąd nie mieliśmy żadnych sygnałów, że wiedzą o naszym istnieniu. Posłaliśmy wiadomości do PAP i właściwie wszędzie, gdzie było można, ale niewielka wzmianka na ten temat ukazała się tylko w tygodniku „Polityka”. Później podobne komunikaty zamieścił „Tygodnik Solidarność” i „Tygodnik Powszechny”.

— Jak pan ocenia stan świadomości społecznej na temat więziennictwa? Co społeczeństwo wie o więzieniach?

— Raczej niewiele, choć liczne buntury więźniów w zakładach karnych uprzytomniły chyba części społeczeństwa, że dzieje się tam nie najlepiej, a pół roku temu działo się tam jeszcze gorzej. Nawet podniesienie stawki wyżywienia do 17 zł przy wciąż rosnących cenach żywności świadczy, że są to raczej głodowe. Jak w tych warunkach będzie wyglądała zima w zakładach karnych?

Dlatego bardzo niebezpieczny wydaje mi się pogląd, jaki widać na łamach „Polityki” Jerzy Urban, który stwierdził, że większość społeczeństwa jest przeciwko poprawie sytuacji więźniów. Wprawdzie on sam tych nastrojów nie podziela, ale uważa, że należy podporządkować się woli większości. Ma to chyba niewiele wspólnego z ideałami socjalizmu i schłabia mentalność drobnomieszczańską.

— Proszę wybaczyć brutalność tego pytania: czy był pan kiedykolwiek więźniem?

— Nie. Kiedyś jednak opowiedziałem mi, co dzieje się w zakładach karnych, to przejąłem się tą sprawą, która powinna obchodzić wszystkich uczciwych ludzi. Gdyby „Patronat” istniał wcześniej to na pewno nie doszłoby do różnych przerażających sytuacji. Dlatego potrzebna jest ścisła współpraca z władzami, żeby upoważnieni członkowie „Patronatu” mieli wstęp do zakładów karnych.

— Czy mogę zapytać pana o osobisty stosunek do kary śmierci?

— Jestem zdecydowanie przeciwko karze śmierci. Uważam, że kara śmierci jest hańbą dla społeczeństwa. Podzielał tu w pełni przekonania Roberta Badientela, jednego z najwybitniejszych adwokatów francuskich, z którym zaprzyjaźniłem się w czasie gdy był ambasadorem Polski w Paryżu. Badientel jest dziś ministrem sprawiedliwości w rządzie Moroya. Przypuszczam, że w pewnym momencie „Patronat” będzie musiał zająć się sprawą zniesienia w Polsce kary śmierci.

— Jak widzi więc pan dalekosiężne cele Stowarzyszenia „Patronat”?

— Rozumiem w każdym razie, że zaistnieje konieczność kształtowania świadomości społecznej w kierunku koniecznych zmian w kodeksie karnym, a nawet jego reformy. My możemy tylko apelować do opinii publicznej. Słaba to broń, ale nie aż tak słaba. Jest tu wielka rola dla prasy. Będziemy także walczyć z wszelkimi nadużyciami w zakładach karnych. Dobra wola ministerstwa nie wystarczy. Instytucjonalnie można na pewno utrudnić nadużycia, ale zmienić ludzi nie można. Dlatego potrzebne jest szerokie działanie społeczne.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDICH

PS. Jak doniosła za PAP „Trybuna Ludu” minister Zawadzki spotkał się w dn. 16 września z przedstawicielami stowarzyszenia „Patronat”. Przedmiotem rozmowy były zasady wzajemnej współpracy.

K. F.

WIĘŹNIOWIE TAKŻE SĄ LUDZMI

możliwości. Są one zresztą wciąż dość ograniczone ze względu na brak środków. Na początek złożyliśmy się po 200 zł tworząc skromny fundusz stowarzyszenia. Nie mamy własnego lokalu, więc spotykamy się w mieszkaniach prywatnych.

— Jaki problem uważa pan w tej chwili za najważniejszy dla stowarzyszenia?

— Najważniejszą sprawą na dziś jest zwolnienie walnego zebrania, odbędzie się ono jeszcze w tym miesiącu. W tej chwili bowiem działa tymczasowy 5-osobowy zarząd. Na szczęście gościny na zebranie udzieliła nam bezinteresownie Rada Adwokacka w Warszawie, będzie więc można przesłać nakreślić program działalności.

Jako przewodniczący „Patronatu” poprosiłem o przyjęcie przez ministra sprawiedliwości prof. Sylwestra Zawadzkiego. Musimy bowiem przed podjęciem działalności poznać stanowisko ministerstwa, a zwłaszcza jego stosunek do

działania. Wybrani działacze „Patronatu”, uznani przez Ministerstwo Sprawiedliwości, muszą mieć prawo swobodnego dostępu do więźniów. Musimy mieć także warunki materialne do niesienia skutecznej pomocy. Przewidujemy także pomoc prawną i posługi religijne. Chcemy zachować niezależność „Patronatu” od władzy, gdyż „Patronat” przed wojną, mimo subwencji państwowych, także był niezależny.

— Jak z tych krótkich kontaktów ocenia pan intencje władz w stosunku do „Patronatu”?

— Nie wątpię, że Ministerstwo Sprawiedliwości zaofiaruje nam pomoc. Jak mi się wydaje ministerstwo szczerze chce naszego istnienia, a jednocześnie żywi wiele obaw. Można je zrozumieć, skoro w statucie PSP mówi się, że jednym z celów tej organizacji jest podnoszenie autorytetu służby więziennej. My domagamy się podnoszenia poziomu tej służby, a to jest różnica.



Ryszard Filipiński w monodramie „Co jest za tym murem”

Foto: B. Opiata

„Zbuntowani”

Ogólnie znane są trudne warunki pracy Oddziału, stąd może tak mocno krytyczna ocena młodzieży. Przypomnę jedynie, że istnieje 3 lata przedsiębiorstwo znajdujące się nadal w stadium organizacji, ale rozumiem, że nie wszystko można wyjaśnić trudnymi warunkami. Pragnęłbym, zanim przedłożę swój punkt widzenia na kwestię praktyk, ich przebiegu, oraz toku kształcenia szkółców — konserwatorów, wyjaśnić, kilka nieścisłości zawartych w publikacji „Zbuntowani”. Przed trzema laty opiniowaliśmy (pozytywnie) inicjatywę utworzenia klas przygotowujących fachowców w zawodzie murarz-sztukator i ewentualnie stolarz-konserwator, z których z łódzkich szkół budowlanych. Na tym jednak rola Oddziału zakończyła się definitywnie. Spodziewaliśmy się wprawdzie, że władze szkolne zasięgną naszej opinii w sprawie wynagrodzeń kwalifikacyjnych, organizacji toku nauki, itp. lecz nie takiego nie nastąpiło. Uznaliśmy, że nie występuje taka potrzeba.

W ubiegłym roku szkolnym jak również w roku bieżącym szkoła zwróciła się do Oddziału o umożliwienie odbycia praktyk szkolnych na budowlanych przedsiębiorstwach, na co wyraziliśmy zgodę, delegując jednocześnie do opieki nad praktykami ob. inż. Wojtę oraz ob. inż. Lipiec — inżynierów budownictwa z doświadczeniem w realizacji prac konserwatorskich. Szkoła nie zgłaszała wobec dyrektora Oddziału żadnych uwag, co przebiegu praktyk nie gwarantowało, że również do mnie o spotkanie o czym wspominałem w publikacji. Nie znana jest mi także sprawa ewentualnego wyjazdu młodzieży na praktyki do Lublina, co nie leżało przecież w kompetencjach przedsiębiorstwa.

Nie podjęto także dotychczas z nami żadnych wiążących rozmów w kwestii zatrudnienia absolwentów. W lipcu br. kierownik praktyk szkolnych zwrócił się do mnie z pytaniem, czy byłaby możliwość przyjęcia grupy absolwentów i stworzenia z nich grupy robotników-sztukatorów. Wyraziłem wstępnie na w.w. propozycję zgodę, oczekując formalnej inicjatywy szkoły w w.w. sprawie. Dotychczas nie nastąpiło.

Uwagi uczniów być może słuszne co do samego przebiegu praktyk, zostały nam przekazane w drodze publikacji prasowej. Wydaje się, że nie wyczerpano wielu możliwości pośrednich (dyrekcja szkoły, wychowawca, opiekun praktyk szkolnych, zakłady opieki praktyki). Kwestię badań lekarskich, kwalifikacyjnych do pracy na wysokości (podstawowy warunek dopuszczenia do pracy), jak również naboru dziewcząt do trudnego zawodu murarz-sztukatora, pozostawiam bez komentarza.

W związku z powyższym zgłaszam na gorąco następujące uwagi i propozycje:

- 1) Organizatorzy nauki zawodu (szkoła, kuratorium) winni uzgodnić z PP P.K.Z. wieloletni harmonogram naboru absolwentów.
- 2) W zawodach przygotowujących do pracy w P.K.Z. należy uzgodnić z przedsiębiorstwem program nauczania.
- 3) Program nauczania winien obejmować obok praktycznej nauki zawodu również przedmioty z dyscyplin towarzyszących (np. historia sztuki, konserwacja rzeźby itp.) w wymiarze niezbędnym do zakresu wykonywanej pracy.
- 4) Uczniowie winni być zapoznani ze strukturą organizacyjną i zadaniami P.K.Z.
- 5) Uczniom winno się prezentować zarówno w Łodzi jak i poza Łodzi zadania i prace konserwatorskie o różnym stopniu trudności.
- 6) Praktycy z P.K.Z. różnyh dyscyplin mogliby być wykładowcami (do uzgodnienia zakres i forma nauczania).
- 7) Niezbędny wydaje się stały „roboczy” kontakt kierownictwa (wychowawców) szkoły z przedsiębiorstwem.
- 8) Podobną współpracę winny nawiązać organizacje społeczne obydwu instytucji.
- 9) W trakcie roku szkolnego uczniowie winni wizytować przedsiębiorstwo przyszłego pracodawcy (budowy, pracownie specjalistyczne).

Być może powyższe nie wyczerpuje problemu. Niezbedne jest w tej kwestii stanowisko szkoły, myślenie jednak, że spełnienie tylko tych niekompletnych warunków, pozwoliłoby uniknąć wielu nieporozumień i rozgoryczenia młodzieży.

Chciałbym nadal podtrzymać deklarację Oddziału dotyczącą możliwości zatrudnienia i pomocy w nauce zawodu.

Na koniec pragnę wyjaśnić, że mimo złej sytuacji gospodarczej, która nie ominęła naszego przedsiębiorstwa, perspektyw rozwoju P.K.Z. nie rysują się tak czarno jak przedstawiono w publikacji. Obok znacznego zatrudnienia krajowego, zaistniała istotna możliwość eksportu usług konserwatorskich zarówno do krajów socjalistycznych jak i kapitalistycznych.

Oddział Łódzki P.K.Z. podejmuje również choć w skromnym zakresie prace konserwatorskie w Tallinie i Rydze, na bardzo korzystnych warunkach finansowych. Stworzy to określone perspektywy zatrudnienia i w przyszłości.

Łączę wyrazy poważania
mgr J. JULIUSZ OLSZEWSKI

Szanowny Panie Redaktorze! Jestem nauczycielką i sprawy szkoły zawsze mnie interesują. Lubie dzieci i młodzież, zawód swój bardzo lubię. Innego nigdy nie brałam pod uwagę, a jednak kilka lat temu poważnie myślałam o jego zmianie.

Zgadzałam się z uczniem, który wypowiadając swe poglądy na temat szkoły na łamach Waszego pisma stwierdził, że jest ona instytucją zniechęcającą. W pełni podzielałam opinie owego ucznia.

W szkole źle czują się nie od dawna nie tylko uczniowie, ale i gros nauczycieli i to nie tylko młodych. Taka sytuacja wywarzała się przez lata.

Nauczyciele są grupą ludzi tak znerwicowanych, tak zastraszonej i bez przerwy obrywających po głowie z byle powodu, że trudno się dziwić, iż przestali się odzy-

wać. Mężczyźni, którzy mają swoje zdanie, bywają temperowani, dlatego odchodzą ze szkół, zostają zaś zażukane kobiety, bo im trudniej zdecydować się na zmianę zawodu. Wypowiedzieć swoje zdanie tzn. narazić się i nie mieć życia w danej placówce, bo koleżanki odwrócą się szybko w stronę dyrektora, aby nie stracił godzin nadliczbowych, nie być hospitowanymi, nie dostać okienek, nie opiekować się organizacją ZHP czy samorządem. Nauczyciel, który się wypowiedział a więc śmiało miał swoje zdanie na dany temat jest „nagrodzony” złym planem, okienkami, które przedłużają jego pracę, najgorszą organizacją (zabierającą najwięcej czasu poza pracą), ciągłymi hospitacjami i uwagami bez racji, których nie da się obalić, gdyż na wyjaśnienie dyrektora nie znajduje czasu podczas, gdy na czas na plotki z woźnymi, koleżankami czy kolegami, picie kawy i innych napiwoj. Ostatnia deska ratunku tzn. inspektorat, czy kuratorium bez „pieców” nie daje szans szaremu nauczycielowi, a jeszcze z czasem p. Wodniakowski tego typu sprawy nie miały miejsca.

Trzeba więc zmienić szkołę. Off Najgorsze, to już jest mieć z sobą młodzież, bo wtedy zaraz są różne domysły a przecież autorytet u młodzieży zdobywa się trudną, kulturalnym zachowaniem się względem młodzieży, obiektywnie, sprawiedliwie oceną, a nie poszanowaniem godności swego wychowawcy, bo nie wspomnę już o obowiązku i dostrzeganiu słów.

Dziwie się, że pan wychowawca S. jeszcze nie musiał się wynieść z tej „wspaniałej szkoły”. Myślę, że wkrótce to nastąpi, gdyż dyrektorka i jej poplecznicy o to się postarają. Pan dyrektor, który dawno winien opuścić swój fotel dla człowieka gozonego i stanowiska siedzi kompromituje, nie pewno wkrótce otrzyma nagrodę lub wyróżnienie, bo tak zwykle bywa, a może już takowe posiada za swe „osiągnięcia”. Będzie mógł już spokojnie kierować swym folwarkiem przy polasku pozostających. Odejdą do następnego smigłego nauczyciela, który chyba tak prędko się nie zżwi. Większość chce żyć spokojnie i niewiele pracować. Pracująca z mną zawsze powtarzała: „Co się wtrącasz. Cicho, cicho, niech dyro robi co chce, byle mnie nie ruszał” dlatego wkrótce otrzyma nagrodę. Taka jest niestety mentalność części nauczycieli — a wstyd.

Gdyby dokonano tajnego głosowania wśród Rad Pedagogicznych na terenie miasta Łodzi odnośnie płatowanych stanowisk dyktantów w szkołach, znalazłoby się kilku, których należałoby zatrzymać.

Najlepsi nauczyciele musieli opuścić szkołę, bo zmusiała ich do tego nie tylko niska pensja, lecz głupota; tak, tak głupota ich przemożona.

Nie będzie odnowy w szkołach, jeśli nie zmienią się ludzie nim kierujący, oczywiście nie wszyscy.

Dyrektor winien być wybierany na okres trzech lat z grona nauczycielskiego, które znają i szanują, a po tym okresie bezapelacyjnie wrócić do pracy dyktantowej by nie zapomnieć, że jest to trudniejsze niż kierowanie wskazującym palcem.

Nie podaje swego nazwiska, gdyż dziś nie wierzę nikomu, a tego nazwiska nie przez okres pracy w szkole. Mogę wierzyc tylko swym najbliższym. Przecież bardzo wiele, zaznałam masę podłości i gdyby nie dzieci i młodzież oraz mój najbliższy pewno dawno pracowałabym w innym zawodzie. „Ci kulturalni”, „wykształceni”, którzy tak wspaniale mówią o swej pomocy i dobroci dyrektora, inspektora w białych rekawiczkach żeby powiedział delikatnie nie postępują paskudnie.

Tak też, Panie Redaktorze, jestem po stronie Pana, chociaż nie odważam się na to, bo nawet w trakcie odnowy nie wygrał o kilka jest silniejsza od jednostki, nawet gdy ta ma rację.

Proszę nie mieć żalu do Rady, to też, Oni inaczej nie umieli, gdyby dyrektor zaczął mieć kłopoty natychmiast popra Pana i Pan o tym wie.

Wiem, że nie publikujecie listów anonimowych, ale nie mogę podać swego nazwiska. Teraz nie potrafiłabym walczyć, musiałabym z sobą skoczyć, gdybym przeżywała drugi raz to co kiedyś przeżywałam, „wspaniała dyrektorka”.

Jestem już za stara i zbyt słaba psychicznie, a żeby z nią walczyć trzeba mieć siłę i zdrowie, które mi zabrano.

CZYTELNICZKA

Czas Adamieckiego

Z ogromnym zainteresowaniem przeczytałem w.w. artykuł i przekazałem do Biura Oddziału Łódzkiego Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa. W celu uzupełnienia wiadomości posiadanych przez Autora o tej sprawie zawiadamiam uprzejmie, że nazwa nie jednej z ulic naszego miasta imieniem prof. Karola Adamieckiego została uchwalona jako wniosek pod adresem Rady Narodowej przez walne zgromadzenie członków O.L. TNOiK ok. 10 lat temu. Pierwszy dokument potwierdzający przyjęcie wniosku przez P.R.N. jest datowany 9. 3. 1973 r. znak: ABV111/734/7/40-U/73 a ostatni, zawiadamiający jego odrzuceniu nosi datę 9. 9. 1977 znak: BGG-8413-A/81/9/78. mimo, że w międzyczasie TNOiK przesłał na adres Urzędu Miasta Łodzi i na ręce Prezydenta obszerną dokumentację o działalności i zasługach Profesora. Również w międzyczasie nadano wielu znaczącym ulicom nazwy pozbawione zupełnie sensu.

Chcę dać własną odpowiedź na końcowe pytanie, postawione w artykule. ZŁY TO OMEN, że po tak długim czasie, aż na peryferiach miasta znajduje się ulica, nazwana imieniem tak zasłużonego człowieka. Ten przykład ilustruje najlepiej, na jak dalekich peryferiach świadomości ogółu sier kierownictwa w naszym życiu społecznym i gospodarczym znajduje się wiedza, wyrosła z nauk profesora Akademickiego. Skutkiem tego odzwamy naidotkliwiej właśnie teraz — w okresie totalnej niemożności — czyli po prostu umiędloności organizowania działania.

Z poważaniem
mgr TADEUSZ ORDYŃSKI

WŁADYSŁAW ZAWISTOWSKI

GEOGRAFIA

(fragment poematu)

najpierw europa była bardzo mała
jak dobrze wysprzątana przedszkolna piaskownica
coż rzym północne góry morza śródziemnego wanna
potem powiększała się coraz bardziej
była tak wielka że mój przaszczur nie o niej nie wiedział
nie wiedział nawet że jest europejszym kontynentem
ale wiedzieli o tym inni
nieśli krzyż który spieć miał cały kontynent
gdy im się to udało
europa znów zaczęła przypominać
dobrze posprzątany dom

niektórym musiało się w nim zrobić ciasno
wymyślił więc nowe religie i inne kontynenty
te drugie sprawdzały się szybko
te pierwsze wolniej
ale i tak ludzie mieli godziwe zajęcie
na dłuższy czas

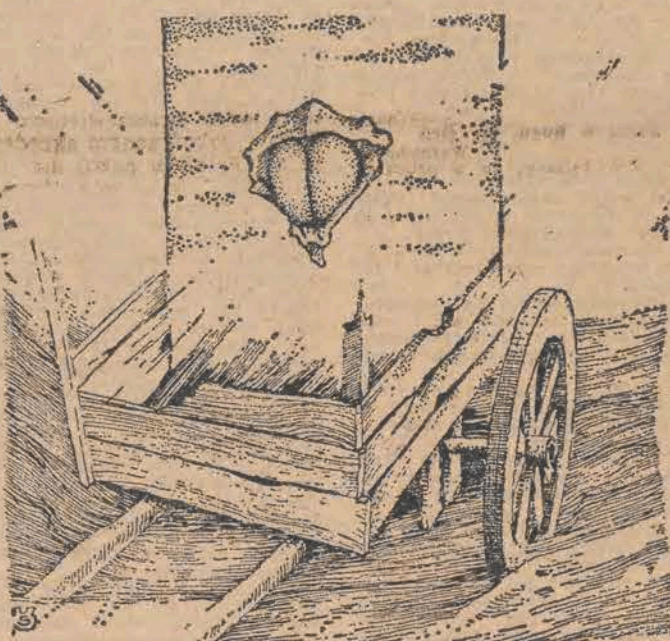
potem znów
co pewien czas porządkowano
nie sprzątanym dom
niektórzy się wynosili
inni przybywali
dla niektórych europa znów się zrobiła wielka
gdy po kolejnych porządkach
zabrakło dla nich pokoju
mój pradziad tę bezdomność zna
za szyję przykuty do pelli transsyberyjskiej kolei
tej samej którą ojciec mój nadto pamięta
przedwiośnie na zachód spieszący

I raz jeszcze nasz dobrze
sprzątnięty kontynent
zaczął wyglądać jak domek dla lalek
należący do bardzo grzecznej dziewczynki
która przypatruje się nam
z tekturowego księżycy
i podrzuca w górę plastikowych kosmonautów

czasem myślę że ona naprawdę istnieje
i dlatego trudno mi uwierzyć
że za firankami mego pokoju jest jeszcze jakakolwiek przestrzeń

Ilekoć więc staję na brzegu chodnika
boję się że upadnę

I będę spadał wieczule
gdyż poza granicą którą sam jestem
nie ma niczego
nawet okrutnej dziewczynki
której dłoń
na pewno nie powstrzyma mego upadku



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Skok

Kolejka mozolnie wspina się
do góry. Monotonnie szumi lina
przesuwając się na podporach.
Biel śniegu i dostojność gór
tworzy scenę nierealną, wyrwaną
z wrzawy i tłoku pozostawionego na dole. Nad nim
potężny masyw Kasprowego
Wierchu, w dole ośnieżone
smarki.

UWAGA! Te słowa odczuł jak
uderzenie w żołądek. Zamyslił
się, zapatrzył. Za chwilę skończył
spadanie z trzydziestu metrów
w białą otchłań. Przeleciał
ślinę. Ma czas, jeszcze trzy
podpory i dopiero za nimi
świerk, który złagodzi upadek.
Jeżeli nie trafi na drzewo to
spadając bez amortyzacji może
się zabić.

Zaterkotała kamera. Precyzyjnie,
zgodnie ze scenariuszem
wykonuje wszystkie czynności.
Gra kuriera tatrzańskiego, a
właściwie dubluje aktora kreującego
tę postać. Teraz jest tylko
on i najważniejsza rola jego
życia. Kamera pracuje. Przedostatnia
podpora, za dwadzieścia
pięć metrów ostatnia lina.

Kłęk na podłożu, otwiera
klapę awaryjną. W otworze pod
nim ostre, ośnieżone skałki.
Siada opuszczając nogi w przepaść.
Czuje lodowaty dreszcz
obejmujący ciało. Otrząsnął się
z zimna i złych myśli. Powoli
opuszcza się w dół. Zawisł na
rękach, czeka. Pod nim ucieka
do tyłu niebezpieczna ziemia.
Do świerka jeszcze kilka metrów.
Musi puścić się tuż przed
nim, aby pęd kolejki nie przenosił
go za konar.

Już. Leci. Spada jak kamień!
Rozwarł ręce. W twarz uderzyły
świerkowe łapki. OCALE-
NIE! Zaciął ramiona. Trzyma
drzewo w ramionach. Elastyczny
czubek uginał się pod jego
ciężarem odsuwając ciało od
pnia. Ośnieżone gałązki wysiłgają
się z dion. Rozpaczliwie
chwycił je. Łapie coraz
cięższe. Z urwaną kłiszą czuba
spada w dół. Zawodowa odwa-
ga stłumił krzyk przerażenia.
Ból. Okropny ból. Całe morze
bólu.

Wyścig

Przerwie zimową wykorzystaj
na przygotowanie sprzętu. Pa-
trzył z dumą na swoje dzieło.
Wszystko wypieść, własnymi
rękami. Długie godziny spędzone
w garażu miały teraz owocować.

Pierwsza impreza sezonu.
Kiedy stanął na torze jego auto
wyróżniało się elegancją i
precyzją wykonanych ulepszeń.
Dwadzieścia dwie maszyny
podjechały na start. Jako trzeci
po treningu obowiązkowym
otrzymał pole startowe w pierw-
szym rzędzie. Wygasili silniki
— tak nakazuje regulamin.
Po chwili sędzia starter podniósł
do góry chorągiewkę i
auta zagadnęły.

Spoglądał na obrotomierz,
emalując pedałem gazu pod-
kreślał obroty do czterech tysięcy,
jednocześnie pilnie obser-

wował startera. Jest znak —
przygotować się. Wcisnął sprzę-
gło i włączył bieg. Był bardzo
skupiony. Byleby nie przegapić
tego jedynego momentu i wy-
startować ułamek sekundy
wcześniej niż konkurent.

START! Pełny gaz! Jak wy-
strzelony pocisk skoczył do
przodu. Przeciwnicy nie byli
gorsi — szli maska w maskę
do pierwszego zakrętu. W trójkę
tam się nie zmieszczą. Tor
w tym miejscu poważnie się
zwęża. Ktoś musi opuścić
Zmienia biegi bardzo szybko,
trochę nawet brutalnie. Chce
od razu uzyskać przewagę, po-
tem tylko nie dać się wyprzedzić.
Prawie zakręt — trzyma
pełny gaz. Kątem oka zauważył,
że przeciwnik z lewej zostaje
z tyłu. Wytrzymał jeszcze
sekundę! Kopnął hamulec,
zmienił bieg i już pod kołami
miał krzywą.

Nastrój

Śnieg padał dużymi płatami.
Powoli, jakby od niechcenia
wirował w świetle latarni sto-
jących na peronie.

Ostatnie wieczorne połączenie
z Łodzi. Pusta stacja. W po-
ciągu zaledwie kilkudziesięciu
podróżnych. Przechadzał się
wzdłuż wagonów. Biała cisza
następowała romantycznie. Lubił
takie chwile, pozwalał sobie
wtedy na marzenia.

Z budynku dworca wyszła
kobieta, z nią w pewnej od-
ległości trzech mężczyzn. Szli
w jego stronę. Dziewczyna u-
pewniła się, że to właściwy po-
ciąg. Pomógł jej wsiąść i za-
trzasnął drzwi. Chłopaki za-
trzymali się przy nim, pytając
„uprzejmie” — panie konduk-
tor, ten do Warszawy?

Znał ich. Posiadali miesiąc-

rywał bolesne ciosy. Czuł że

słabnie.
Nagle potworny ból głowy.
Trzask otwieranych drzwi i
mroźny świst wiatru. Niosą go!
Rozłożył ręce, chce się złapać.
Poczuł klamrę i zacisnął na
niej palce.

Wypadając — zerwał hamu-
lec bezpieczeństwa!

W maju wyszedł ze szpitala
Witano go jak bohatera. Łzy
wzruszenia przesłoniły ocalale
z wypadku oko.

Wakacje

Siedziała nad jeziorem.
Zmierzchało. Cisza i urok tego
zakątka kojąco wpływały na
stargane nerwy. Woda była
świadkiem jej sukcesów i po-
rażeń. Ex mistrzyni, teraz nau-
czycielka pływania. Czują się
bardzo zmęczone. Cały rok z
rozwrzeszczaną hulastrą dzie-
ciaków wyrwał piętno na jej
psychice. Świadomie odkładała
moment powrotu do miasta.
Syciła się przedwieczornym
spokojem przyrody.

Wtedy zatrzeszczały galezie.
Obejrzała się. Stali kilka kro-
ków od brzegu. Było ich
dwóch. W milczeniu podeszli do
niej, złapali za ręce i zaczęli
ciągnąć w krzaki.

Krzyżowała, szarpała się roz-
paczliwie! Nie reagowali. Był
jak szczeniak buldoga — silni,
nieustraszeni. Uścisk ramion
trzymał jak kleszcze. Śmier-
dził winiskiem. Wyła! Gryzała!
Kopała! Gdy owłosiona łapa
znalazła się w zasięgu jej ust
— wbiła w nią zęby.

Krzyknął! Puścił na chwilę
i rąbnął ją pięścią w twarz.
Szarpnęła się z całych sił i sko-
czyła do wody. Odeszła kilka
kroków, aż poczuła chłód na
piersiach. Dyszała.

Stała na brzegu. Ty k...o!

Ty k... wyszczał ukrzyżony.

Zart

Była pierwszą dziewczyną,
którą zaprosił na rajd. Koledzy
od dawna przywozili panienki
i wysmiewali go, że taki cnotliwy.
Zakochał się w tej dziewczynie
i dlatego ją zabrał.

Siedział na hotelowym łóżku.
Opierał o ścianę przyległą do
siebie ramionami. Pili z
odrazą czystą wódkę ze szklan-
ki. Taki był styl. Ekipa przy-
wiozła gorzałkę i trzeba było
na przywitanie wypić.

Powiedziała — wódecz nie pi-
ję bo to zaszkodzi dziecku!
Dopiero po chwili zrozumiał,
że to ciotka. Kiedy chciał ją
pocałować, wszedł któryś z ko-
legów.

— Stary! Przyjechała twoja
żona!

— Jeżeli żona tu wejdzie —
pamiętaj, że to twoja dziew-
czyna — poleciał koleś.

Ty gówniarzu — powiedziała.
Ty wstrętny głupi gówniarzu!

* Szykana — przeszkoda z opon
ułożona na torze wyścigowym.

SKAZANY
NA LITERATURĘ

Dzieje artystycznego dorobku Leona
Gomolickiego doczekały się mono-
grafii Jerzego Rzymowskiego „Erynie
historii i człowieka”, opublikowanej
przed kilku laty przez Wydawnictwo
Łódzkie. Od tego jednak momentu
ukazały się nowe książki Gomolickiego,
powiększając ten obfit i inte-
resujący dorobek, potwierdzając jed-
nocześnie stare i wskazując nowe
tropy interpretacyjne.

Leon Gomolicki — grafik, poeta,
eseista, pracownik naukowy — w
świadomości współczesnych żyje
przede wszystkim jako prozaik. Za-
władza to nieczęsto spotykanej e-
rupcji prozy artystycznej, jaka wy-
pełnia dwa ostatnie dziesięciolecia
jego twórczej aktywności.

Charakterystyczny dla tej prozy
jest jej główny i jedyny bohater —
intelekt. To on porządkuje i sta-
ra się utrzymać w ryzach żywioł
prozy, jaka powstaje pod piórem au-
tora „Kiermaszu”. Ten zasię żywioł

usiłuje z kolei zapanować (czy to do-
bre słowo?) nad chaosem świata,
sprostać w jakimś sensie biegowi
zdarzeń, wyjąć naprzeciw ludzkiemu
zagubieniu w czasie i w przestrzeni.

Miejsce najważniejsze zajęła w
prozie Leona Gomolickiego hekatoma-
ba drugiej wojny światowej — pro-
za jego jest reakcją skązonej, wypa-
lonej pamięci na zjawisko trudne do
nazwania w kategoriach humanistycz-
nej kultury. Dowodzi bezradności
intelektu wobec apokalipsy, bezrad-
ności przerażającej i porażającej.

Tym razem Leon Gomolicki pisze
o swoich kontaktach z literaturą
i najszerzej rozumianą. O dzie-
ciach zaurzeczonych światem książek,
które spowodowało najważniejsze w
życiu postanowienie (w istocie spie-
nione dopiero w latach dojrzałych) —
chęć zostania pisarzem, chęć otarcia
się o nieśmiertelność, jaką w prze-
konaniu lennika sztuki pisanie za-
pewniać mogą utrwalone i przekazy-

wane z pokolenia na pokolenie tek-
sty. Obcowanie z literaturą (wszech-
stronne — jako konsumenta tekstów,
zbieracza tomów, detektywa śledzą-
cego losy autorów, głębokiego inter-
pretatora i wreszcie niespokojnego
twórcy) — oto przewodni motyw
„Horoskopu”, prozy impresyjnej, re-
fleksyjnej, przetykanej wspomnieniami,
nierzadko bardzo odległymi, przyno-
szącymi dokładne przemyślenia i bru-
llonowe notatki, nie gardzące zwy-
kłymi zapiskami z teraźniejszości.

Mamy więc do czynienia w „Ho-
roskopie” jakby z syntezą pisarstwa
Gomolickiego, postawa konfe-
syjna jest tu wyraźniejsza chyba
niż dotychczas i nie w gruncie rza-
czy nie stoi na przeszłości, by nar-
ratora utożsamiać z autorem. Gomolicki
wręcz do tego prowokuje. Lecz nie
byłoby to zabieg zwyczajny, potwier-
dzający całą umowność sztuki lite-
rackiej. W „Horoskopie” to coś wię-
cej: element intelektualnej gry z czy-
telnikiem, jaką cały czas wiedzie pi-
sarz. Daje do zrozumienia: wyobra-
żasz sobie czytelniku, iż to ja, autor,
ciągle przemawiam i jakże srogo mo-
żesz się pomylić, bo oto przeze mnie
przemawiają tysiące lat kultury
środiemnomorskiej, wspólnota du-
chowa pewnej formacji cywilizacyjnej,
nie, bo jeśli chodzi o człowieka nie
odkrywam niczego nowego, zasadni-
czego, co najwyżej nieco inaczej kre-
ślę swoje o nim spostrzeżenia. Nie
dziwny jest zatem Gomolickiemu, iż
tak chętnie i konsekwentnie powra-
ca do źródeł, iż poprzez mitologicz-

ne biblijne mądrości ogląda świat
współczesny. Co wcale nie znaczy,
że to autor skostniały, zastępy w raz
przyjętej formie. Trudno byłoby o
ślad bardziej uludny. Należy bowiem
Leon Gomolicki do najbardziej liczą-
cej się w naszej prozie współczesnej
grupy eksperymentów. Oddajmy mu
zresztą głos: „... pociesza to, że w
samych ksiązkach zachodzą zmiany
— te przełomy i kryzysy, te kruszą-
ce skostniałą formę eksperymenty,
które skracają narrację zmniejszając
w konsekwencji objętość i format
książki (...). Zaprzestajmy czytania
książek na modłę literatury konwen-
cjonalnej, czyli — monotematycznie.
Książki pisze się teraz inaczej: skła-
dają się z mozaiki lub, ściślej, sza-
chowicy obrazomysli... „Na takiej
to szachownicy rozgrywa własną par-
tię autor „Horoskopu”.

Poglądy Leona Gomolickiego na
krytykę literacką — dość szerokie.
Od poszukiwań zamkniętego systemu
estetycznego, hoidowania określonym
kanonem sztuki, wyznaczania granic
literatury po coś w rodzaju reinte-
nowskich zdjęć malobrazkowych,
odsianających „wnętrze i kośćce” u-
tworu literackiego. I słuszne przy-
tomu obawy, zastrzeżenia — dzisiej-
sza krytyka prawie nie wywiera
wpływu na pisarzy, brak jej świeżości,
głębszego oddechu, na palcach jednej
ręki policzyć można zapładniające
refleksje. Po prostu dziś już nie ma
krytyków-prawodawców literatury,
nawet jeśli w grupie komentatorów
literatury znajdzie się osobowość

nieprzeciętna. Może dlatego, że dziś
literaturę — bardziej niż kiedykol-
wiek — buduje się ze słów, a nie
z tematów, że lubi ona stroić
się w rebusy, przybierać postać col-
lage'u, zabawiać się magią i tajem-
niczością, co często utrudnia porozu-
mienie stron w tej literackiej grze
uczestniczących. Jak również odróż-
nienie literatury prawdziwej od jej
„samozwańczych namiastek”.

Ciągle oczekuje zbadania stosunek
Leona Gomolickiego do literatury ro-
syjskiej i języka rosyjskiego. Jest to
język, w którym Gomolicki debiuto-
wał i którym — jako pisarz — przez
wiele lat się posługiwał. Jest to lite-
ratura, na której Gomolicki wyrósł
i nosi ją po dziś dzień w pamięci
w sercu. „Horoskop” dostarcza w tej
materii sporo ciekawego i szczegóło-
wego materiału.

Jak podsumować uwagi o najnow-
szej książce autora „Wyprawy na
Patmos”? Może cytatem z Andrzeja
Bielego: „Człowiek musi być skazany
na wierze jak wilk na wycie, wte-
dy jest poetą”. „Horoskop” jest ko-
lejną książką potwierdzającą, iż Le-
on Gomolicki skazany został na li-
teraturę.

TADEUSZ BŁAŻEJSKI

L. Gomolicki, Horoskop, Państwo-
wy Instytut Wydawniczy, Warszawa
1981, s. 183, nakład 5 000 + 315 egz.,
cena zł 25. —

XI
ZBIÓRKA I BEREZA

Opowiadał mi ktoś, że w austriackich lazaretkach polowych stosowano tylko dwa lekarstwa. Gdy kogoś coś bolało powyżej pępka — dawano mu chininę, gdy odczuwał ból poniżej pępka — dostawał rybczynię.

Nasz premier-lekarsz również dwa lekarstwa miał na wszystkie dolegliwości państwowe: publiczną zbiórke pieniężną i Berezę. To były te dwa instrumenty mądrości politycznej, które mu wystarczały przy załatwianiu wszelkich gospodarczych, skarbowych, politycznych i religijnych zagadnień Polski.

Polska musiała się dobrać. Było to jasne dla wszystkich, choć nie wszyscy rozumieli.

można było tych zbrojeń opierać na datkach zbieranych na ulicy, czy z ofiar dobrowolnych, lecz zdobyć na nie trzeba było pieniędzy wielkim wysiłkiem narodu i zadaniem ojczyzny. Tymczasem rokowania Koca w Anglii o polityczne rozbiły się o to, że Koc, według instrukcji Kwiatkowskiego, żądał zła, a nie kredytów na armię, samoloty czy czołgi, a w kraju zbierano u dzieci, które nie zjadły butelki, grozili na budowie pancerników czy fortecy. I jakże Koszmar zakończył to wszystko — ofiary na FON w stocie i Bizerii nie były użyte i zostały z Polski po 17 września 1939 roku wywiezione.

Dnia 23 marca 1939 roku został aresztowany i osadzony w Berezie za — jak to głosił doreczony mi nakaz — „systematyczną krytykę rządu, za pomocą sztucznie dobranej argumentacji i podrywanie zaufania narodowego do Naczelnego Wodza”.

Skorzystał z tej okazji, by opowiedzieć o Berezie, stosunkach w której były obojętne ta-

mało jeszcze proces oddawania stoła, gdyż podstawą jego był chleb. Z nie wypróbowanych bruchami kazano przez siedem godzin robić ludziom „gimnastykę”, tj. stosowano straszną torturę, kazano w pozycji głębokiego przysiadu z rękami do góry pozostawać siedem godzin bez przerwy i w ten sposób chodząc, biegać, wchodzić i schodzić ze schodów. Bito przy tym straszliwie, zwłaszcza jeśli ktoś złał nie wytrzymał. Bicie działo się na oficjalne i oficjalno-prywatne. Kara chłosty istniała oficjalnie, wdziałem dekwenta, który dostał 280 pałek w siedzenie, ośmiu policjantów znęcało się nad nim, był to mój sąsiad z przecz, Żyd, właściciel domu publicznego z Łodzi — Swierzewski mł. opowiadał, że całą salę postawiono na kolanach na ka-

drugi dzień całkiem bez jedzenia i przez sześć dni i sześć nocy co pół godziny trzeba było się meldować do okna: „panie komendancie, melduję posłuszenie...” Przez sześć dni odmawiano człowiekowi prawa do snu. Komendantem trzeba było nazywać każdego policjanta; wyraz bohaterki, w czasach legionów oznaczający Piłsudskiego, miał tu być stosowany do każdego zbra. Najniebezpieczniejsi byli wśród nas ci przestępcy skarbowi. Byli to zwykłe bogaci, bruchaci kupcy, w starszym wieku, przeważnie Żydzi, zesłani tu przez Składowskiego w celach demagogii, za „pasek”, niepięcenie podatków, itp. Nie wytrzymywali zupełnie tortur, ich oczy były zawsze obłędne, wariackie. Zresztą był wśród nas prawdziwi wariaci. Kiedyśmy biegali — w Berezie wszystko robiło się biegiem — kuśtykając się od czasu do czasu, pewna liczba kalek, którym przy torturach potamano kiedyś kości, a biegało z nami trzech wariatów, których oskarżano o symulację. Dość dantejsko to wszystko wyglądało.

Nie wolno było się modlić, mieć medalika na szyi, przeznęcać się — za to wszystko było bicie. W tej atmosferze rozdziły się prawdziwe nawrócenia a la Chilon Chilonides z sienkiewiczowskiego „Quo vadis?” Oto przydzielono mnie kiedyś do pralni, tam spotkał mnie policjant, który wyprosił z łazienki, gdzie ubikacji, powiedział: „panie redaktorze” zamiast normalnie „...synie” — policjant ten, jak się później dowiedziałem, był kiedyś specjalnie sadystycznym katem, potem coś się w nim zmieniło i obojętność się na niego była jakąś karą świadczącą humanitarnym usług więźniom.

Zresztą osobiście nie byłem bity i jestem bardzo daleki od uważania Berezę za najbardziej zastraszający punkt oskarżenia przeciw Rydzowi i Sławkowi. Niech by sobie mieli dziesięć Berez a nie jedną, a natomiast umieli rozwiązać zagadnienie obrony narodowej i polityki zagranicznej. Stosunek rządu do cerkwi prawosławnej stanowił w moich oczach tyś siatkę, milionokrót więcej przestępstwo, aniżeli Berez. To nie znaczy jednak, abym Berezę uważał. Przede wszystkim stwarzała ona dualizm wymiaru sprawiedliwości. Złodzi, bandyta, morderca, dlatego tylko że był zapanowany na gorącym uczynku, że miało pewność jego winy, stawiano przed sądem okręgowym, apelacyjnym, najwyższym, miał adwokata, korzystał ze wszystkich przepisów humanitarnej procedury karnej, szedł do więzienia, z którego miał prawo wnosić skargę, miał nadzór prokuratorski nad sobą. Był między nami więźniem, który dostał się tutaj, a nie do normalnego, humanitarnego więzienia, tylko dlatego, że policja nie mogła mu winy udowodnić. Toteż w Berezie było mnóstwo ludzi kompletnie niewinnych, tak samo wśród kryminalnych jak politycznych, wystarczała zemsta jakiegokolwiek przestępstwa, policyjnego lub nieszczęśliwego, aby osadzić kogoś w Berezie.

Rydz mianował Kostka ministrem w chwili wybuchu wojny, w tej chwili, kiedy cały naród polski składał na ołtarzu ojczyzny swój patriotyzm, swój entuzjazm, swoje poświęcenie bez granic. W roku 1914, w chwili wybuchu wojny, Wilhelm II powiedział: „Nie chcę wiedzieć od tej chwili o żadnych partiach” i wyciągnął dłoń do socjalisty i republikanina Schiedemanna, Mikołaj II przyjechał do nieważnie mu Dumy i miał być w oczach z rozczuleniem. Rydz wyraził swój stosunek do społeczeństwa przez nominację Kostka-Biernackiego, kate Brześcia i Berezę.

XII
GRZECH SŁAWKA

Dnia 2 kwietnia 1939 roku, w niedzielę, przyszedł Bohdan Podoski do Sławka, do jego mieszkania przy ul. Szucha 16 i zastał go w czarnym ubraniu wizytowym ze wstążeczkami „Virtuti Militari” i Krzyża Niepodległości. Na pytanie, dokąd się wybiera, Sławek odpowiedział, że nigdzie, natomiast rozmawiając, jak zwykle, spokojnie i poważnie, spytał Podoskiego, jako znawcę spraw konstytucyjnych, co sądzi o ogłoszeniu nowej polityki bez uprzedniej zgody Sejmu. Podoski mu odpowiedział, że mu na jutro przygotowuje dokładną odpowiedź w tej sprawie, na to Sławek skrzywił się i powiedział: — A, to zresztą nie warto. Podoski wyszedł o godz. 6 po południu, Sławek zaczął

paląc wszystkie swoje listy, papiery, dokumenty; poczuł odpowiedzialność i konspiracji nie opuszczał go nigdy, potem swoim dzieciannym troche pismem napisał na kawałku papieru: „Postanowiłem odebrać sobie życie. Bóg mi moje grzechy i ten ostatni odpuszc” i strzelił do siebie z bronią, którego używał jeszcze w rewolucyjnej walce z czasów Frakcji PPS.

Była godzina 8.45 wieczorem. Niedziela. Piłsudski umarł także w niedzielę o godz. 8.45 wieczorem. Duch Sławka podążył do przyjaciela.

Służąca Sławka usłyszała strzał i zaalarmowała Podoskiego, który przyjechał i odwoził wyjechał z mieszkania Sławka, jakkolwiek żądała tego policja i prokuratura. Ale Podoski był sędzią apelacyjnym i człowiekiem twardym. Pani Beckowa dowiedziała się o samobójstwie, telefonowała do prezydenta, do Sławoja, Sławek, całkiem już nieprzytomny, z kulą w mózgu, męczył się jeszcze kilka godzin w szpitalu, gdzie umarł namaszczony sakramentami in extremis.

Przyzecz samobójstwa Sławka są jasne, Piłsudski zlecił mu, aby został prezydentem, nie umiał tego wykonać. Naokoło widział czarne chmury zbierające się nad Polską. Czuli się jak wierny pies, który nie potrafił spełnić swego obowiązku.

Pozwól sobie poniżej zacytować wiersz Kazimierza Wierzyńskiego, napisany w rocznicę śmierci Sławka:

Rok temu echo samotnego strzału
Każdy odpędzał niebiedale od ucha,
Strzał się oddał, rozlewał

Dziś go jak gromu z otchłani
Strzelec tragiczny wybiegł iskry
Naprzód przed pałą i szacunkiem

Gdy się żołnierze kładli pod
W grobie ich czekał na dzień
Wrózby pisane śród gwiazd i śród

W nocy go ciemnej przed
Bezbronnym, w ciśnie szalonych
Chciał jeszcze walczyć. Padł

Widział jak sowa rozpięta
Jak wodza ślepi zaparł się
I jak gnusność chrobrą buławą

I jak zwycięskie kruszeja nam
I widział jeszcze przez
Nie konia w Bugu, nie cieni

Lecz pułk żelazny, co z pruskiej
W Wiśle ochładzać szedł
Na przeciw gołe zaplotły się ręce,

Stały u granic, u przebie i u brodu.
W polu chrust leśny zbierano

Na wici wojny i stos dla narodu.
I wybuchł ogień, co świecił miał

A jeszcze teraz nam ziemię
„Patrzył przez okno w tę noc

W zdradę i zgubę, na rozgrom
I wtedy strzelił do widm tych, do

By wróżba ściany przerazić
I biegał do grobu pod murem

Dziś tam walecznych się zbliżył
I czekał w grobie, śród kłosek

I z poległymi przeleżał
Strzelec tragiczny, wróżba

Smutniejszy od nich, bo sam
pełen winy.

XIII
BIEG KU KLĘSCIE

Dnia 3 stycznia 1939 roku, Beck wracając z Riwiery, nie widziawszy się z francuskim ministrem spraw zagranicznych, który nie skorzystał z jego pobytu we Francji, odwiedził Hitlera w Berchtesgaden, który mu potwierdził żądanie niemieckie ujawnione już Lipskiemu, polskiemu ambasadorowi w Berlinie zaraz po Monachium, co do przyłączenia Gdańska do Rzeszy i autostrady przez Pomorze. Beck nie informuje polskiej opinii publicznej, że takie żądania zostały wysunięte.

Beckowi chodzi o to, by i Polska i zagranica nie domyślały się, że coś się zmieniło w stosunkach niemiecko-polskich. Ribbentrop przyjeżdża do Warszawy dnia 24 stycznia 1939 roku i zagaduje Becka zarówno w sprawie oddania Gdańska, jak ewentualnej neutralności Polski w razie wojny Niemiec z Francją. Ribbentrop wyjeżdża z przekonaniem, że Polska Gdańska nie odda i że nie może być mowy, by Polska zniósła spokojnie atak Niemiec na Francję.

Beck wyjaśnił więc już sobie, że po pierwsze: kontynuowanie pokojowych stosunków z Niemcami jest niemożliwe wobec tego, że na ustąpienie Gdańska i autostrady nie mógł iść ze względu na

nastrój całego narodu polskiego i że po drugie: Niemcy gotują wojnę przeciwko Francji.

Pomimo tego Beck w sprawie podziału Czechosłowacji na Czechy i Słowację uprawia nadal taktykę, którą stosował w okresie Monachium. Beck uzgadnia swoją politykę w sprawie Słowacji z niemieckimi posunięciami w tej kwestii. Obok Niemiec jedynie Włochy i Polska uznają nowe państwo słowackie z premierem księdzem Tissem na czele, które powstaje na skutek intrygi niemieckich i rozłamuje Czechy od wewnątrz.

Alle w nocy z dnia 14 na 15 marca dr Hacha, prezydent Republiki Czechosłowackiej, przywieziony do Berlina samolotem, podpisuje dokument, w którym składa „z ufnoscią” losy czeskiego narodu w ręce Hitlera, po czym w ciągu kilku godzin Czechy zostają zajęte, wojska niemieckie są w Hradczynie, bez jakiegokolwiek oporu zbrojnego ze strony Czechów. Bogaty arsenał czeski, olbrzymia ilość aparatów lotniczych wpada w ręce Niemców. Hacha powiada: „Naród będzie mnie przeklinał, a przecież zabiłem go od straszliwych cierpień”.

Beck przyjeżdża od Anglii gwarantując niepodległość Polski. Hitler uważa to za rzucenie sobie rękawicę.

Hitler mimochodem załatwia sprawę Kłajpedy, zabierając ją Litwie. Litwini zapytują się, czy Polska może udzielić im pomocy. Beck odmawia, oświadczając, że po zajęciu Kłajpedy przez Niemców, go-

tów jest z Litwinami rozpocząć umowy o sojuszu woj-skowym, ale to już Litwinów przestaje interesować. Układ niemiecko-litewski w sprawie Kłajpedy podpisany jest 22 marca i Kłajpeda zostaje natychmiast zajęta.

Zaraz po Kłajpedzie następuje półoficjalne Gdańskie Niemców oddania im Gdańska i autostrady i częściowa mobilizacja Polski.

Dnia 28 kwietnia Hitler wygłasza mowę, wypowiadając Polsce pakt o nieużywaniu siły w stosunkach wzajemnych. Jest to pierwsza mowa Hitlera, w której nie mówi on nic o bolszewikach. Już z tego można wnioskować, że próbuje on kontaktować z Sowietami. Dnia 5 maja odpowiada Hitlerowi Beck przemówieniem w Sejmie, zakończonym akordem, że dla Polaków pokój nie jest wszystkim, że ceną jeszcze honor. W mowie tej ujawnił Beck rewelację, że Hitler i Göring namawiali go do wyprawy na Rosję. Była to wielka naiwność ze strony Becka, jeśli przypisywał jakiegokolwiek polityczny skutki tej rewelacji. Mowa Becka była przyjęta z wielkim entuzjazmem, w którym uczestniczyli wczorajsi jego przeciwnicy, a cały naród, który tak długo nie dowierzał Beckowi, teraz wyrażał zachwyt z powodu tego przemówienia. A przecież ta mowa była przekreśleniem całej polityki Becka, przyznaniem się przez Becka, że stosował politykę zła, fałszywą, zgubną. Beck z nagrobka swej polityki zrobił sobie piedestał.

Po dniu 5 maja wojna była już kwestią czasu — należało przypuszczać, że rozpocznie się zaraz po żniwach, bo Hitler liczył i na nasze już urodzaje. W tym czasie zarówno nasze władze wojskowe jak i polityczne popełniają szereg błędów.

Władze wojskowe niedostatecznie wyjaśniają kwestię wzajemnego stosunku Polski i sprzymierzonych. W chwili wybuchu wojny ilość dywizji polskich, francuskich i angielskich dorównywała ilości dywizji niemieckich, po rozbiciu Polski stosunek zmienił się na korzyść Niemiec. Polskie czynniki wojskowe nie zbadaly też dostatecznie obronności Francji, uwieryły, jak w to uwierył przeciętny Francuz z ulicy, że istnieje linia Maginota, uniemożliwiająca wszelką napaść, a także przecież łatwo się było przekonać, że linia Maginota osłania tylko część Francji. Nasze władze wojskowe nie przygotowały żadnych własnych fortyfikacji obronnych, nie miały broni nowocześniejszej, nie miały też przeprowadzić nawet mobilizacji. Rydz nakazał co prawda mobilizację w odpowiednim czasie, ale ten człowiek słabego charakteru cofnął swój rozkaz na skutek perswazyj przedstawicieli Anglii i Francji w Warszawie. (...)

Na tym kończymy druk fragmentu „Historii Polski” STANISŁAWA CATY-MACKIEWICZA.

WIECZÓR

Stanisław Cat-Mackiewicz

5

czy też wiedzieli, jak dalece byliśmy bezbronni wobec postępów techniki nowoczesnej. Potrzebne były na to pieniądze. Rydz i Sławoj rzucając hasło zbiórki publicznej na Fundusz Obrony Narodowej, FON. Chłopackowie i dziewczynki z puszkami na tasmach wskazywały do wagonów tramwajowych i kolejowych i że-brzą na broń dla wojska polskiego.

Oczywiście, gdy przed wojną było kilkuset strzelców w Krakowie, którzy chcieli kupić karabiny, można było zaopatrzenie tej organizacji oprócz na zbiórki pieniężnych publicznych, dochodach z biletów sprzedawanych na wieczorki tańcujące, lub z odczytów o literaturze. Ale gdy chodziło nie o kilkuset studentów, lecz o armię, marynarkę i lotnictwo 35-milionowego państwa, jego dobrobrojenie nie dało się przecież oprzeć na żadnych dobro-wolnych ofiarach, nawet tak patriotycznego i tak bardzo o-fiarne społeczeństwa, jak polskie. Po prostu ogół oby-watelei nie miał tyle rozporząd-zalnej gotówki, aby ofiary dobrowolne mogły na te potrzeby starczyć. Dobrobrojenie floty, armii i lotnictwa w naj-bogatszych krajach świata, jak w Anglii lub Ameryce, wymaga tak wielkich wydatków, że powodują zmianę całej struk-tury społeczeństwa; dobrobro-jenie, to wydatek tak duży, że przestaje być kwestią budżetową, a staje się zagadnieniem gospodarki państwa i społeczeństwa, a co dopiero u nas, gdy społeczeństwo było biedne, nędzne, granice rozległe, wrogowie silni. I tę kwestię niepospolitej wagi Rydz i Sławoj załatwiali zbiórką uliczną.

Polska, jak zawsze w takich wypadkach, składała dowody patriotyzmu niespotykanego w innych krajach. Oto małżeństwa, które na FON odsyłają obrączki, oto dzieci ze szkoły powszechnej w Wilnie, które zręczyły się butelczek pszen-nych przy śniadaniu i grosze zaoszczędzone w ten sposób przeznaczały na obronę naro-dową, oto maturzyści z Nie-świeża, którzy w ciągu dwóch lat składali miesięcznie grosze na wycieczkę do Zakopanego po maturze i zręczyają się tego od dwóch lat pieszczonemu za-miaru i zebrane pieniądze od-syłają Rydzowi na FON. Wszystkie te przykłady zarów-no dobrze świadczą o patrio-tyzmie naszych dzieci, jak że o rozumie naszych władców.

Zwolennicy Rydza odpowiadali, że aczkolwiek droga składek dobro-wolnych i zbiórki pieniędzy wystarczającej kwoty się nie zbiera, to jednak zbiórka na FON ma wielkie znaczenie wychowaw-cze. Jak gdyby należało opierać wychowanie społeczeństwa na fra-zezie i bzdurze. Jak można było nie pouczać tych dzieci ze szkoły elementarnej, że leń biedne gro-sze, zaoszczędzone na bułeczkach, gdyby nawet polcone były z gro-zami całej dzidziwy szkolnej oszczędzonymi na mleku, herba-cie, a nawet i tych ziemniakach, które jadły u rodziców — nie miałyby dla wydatków państwa na obronę narodową w ogóle żadnego znaczenia. Niestety, brnieszmy dalej w tę gęstwinę frazesów, u-prawialiśmy jakiś tan dokoła bla-żęńskiego frazesu, w uspieniu, dy-rysowani blażęńskim kaducuszem dumna, jak w koszarnej wili Wypłaskiego. Sytuacja polski wymagać zaczęła zbrojeń, zbrojeń i jeszcze raz zbrojeń. „Nie mo-żemy już dzisiaj mieć żadnej po-lytyki „zgranicznej” — pisał na-maszcząc „Słowa” — „poli-tyka zgraniczna redukuje się do zbrojeń armii, naszą polityką za-graniczną winno być zbrojenie ar-mii”. Ale właśnie dlatego nie



Spółeczeństwo dozbiera armię. Warszawscy sprzedawcy gazet w kioskach ofiarowali karabin maszynowy; Wiosna 1939 r.

Jemnicą, gdyż przy wypuszczaniu z niej powiadano delikwentowi: „jeśli będziesz coś gadał, to przyjdiesz tu drugi raz i wtedy...” A ponieważ Berez nie była żadnym miejscem odosobnienia, ale po prostu miejscem tortur, więc takta obietnica skutkowałą. Ale ja znalazłem Berezę z opowiadania Swierzewskiego i Lochtina, studentów narodowych, osadzonych tam z okazji sprawy Cywińskiego.

Kostek-Biernacki był dziwnym człowiekiem. Jako wojewoda nowogrodzki, potem polski, był nie tylko sprężyty, ale i sprawiedliwy dla ludności w tym sensie, że pilnował, aby urzędnicy nie krzywdzili ludności na własną rękę. Ale był to chorobliwy sadysta. W oddanym mu pod opiekę obozie koncentracyjnym z lubością wymyślał tortury, z prawdziwie degeneracką lubością nazywając je pieszczotliwymi nazwami: „gimnastyką”, „regulaminem”, itp.

Główna tortura w Berezie polegała na odmawianiu człowiekowi prawa odhycia stoła. Tylko raz jeden w dzień o godz. 4 minut 15 rano ustawiano więźniów w wychodku i komenderowano: raz, dwa, trzy, trzy i pół, cztery”. W ciągu półtoręj sekundy miało być wszystko skończzone. Tortura ta była majstersztykiem Kostka. Świat słyszał o torturze głodu, młody człowiek po-wyjdzie z więzienia mówiąc do ukochanej: „głodzone mamie”. Podczas gdy ta tortura, o wiele fizycznie dotkliwsza, nie nadawała się do heroicznego powstawania. Z jaką sady-styczną uciechą musiał o niej Kostek myśleć.

Pożywienie dawane w Berezie było nieobfite, lecz utrud-

mykach nasypianych na nawierzchni szosy, kamykach nie przgniecionych niczym, ostrych, kazano im poruszać się naprzód, bito pałkami i co dwadzieścia metrów kazano pałki całować i tak na przestrzeni dwóch kilometrów budowanej szosy. Więźniów w Berezie było około 600, ale przewinęło się więcej, mój numer porządkowy był 2.858, pilnowało nas 84 policjantów, których tu przysyłano w drodze kary dyscyplinarnej za bicie aresztowanych. Zbierano więc z całej Polski ludzi lubiących bić ludzi bezbronnych. Policjanci bili wszyscy, ale każda sala aresztowanych dzieliła się na trzy grupy: 1) kryminalistów, 2) tzw. przestępców skarbowych i 3) politycznych. Kryminaliści byli dyżurnymi sali, instruktorami „gimnastyki”, itd. Pod tym pozorem wolno im było bić pozostałych. Cały dzień trwało to bicie, policjanci bili wszystkich, chociaż najzwyklej kryminalistów, a ci wyżali się w biciu innych.

Nie będę tu się rozpisywał o najrozmaitszych torturach stosowanych w Berezie, gdyż nie chcę opisywać jakiegokolwiek „ogrodu wdzięczności”. Nie wolno było mówić w Berezie, każdy powinien być stać się niemową, oczywiście był to zakaz nie do przeprowadzenia, i sami kryminaliści, nadzorujący innych, gadali między sobą i nawet z innymi aresztowanymi. Ale za posłuszenie jednego słowa przez policjanta szło się do aresztu na sześć dni, gdzie się siedziało na zimnym betonie, z otwartymi oknami podczas mrozu, bez butów i z gołymi nogami, tylko w kałosenach i koszuł, jednego dnia na pół więziennej racji, co

W jednym z moich felietonów, pisząc m. in. o politycznych aspektach Nagrody Nobla, napisałem takie zdanie: „Nie otrzymali Nobla, ani Aleksy Tołstoj, ani Michał Szolochow...”.

Oczywiście skompromitowałem się nieco, gdyby nie pełniący akurat tej nocy dyżur kolega w „Głosie Robotniczym” Staś B., który mi w ostatniej chwili owego Szolochowa wyrzucił z felietonu. Bowiem, jak wiadomo, Michał Szolochow otrzymał Nagrodę Nobla w 1956 roku.

„Jak wiadomo” — dobrze to teraz powiedzieć, ale jak mogłem o tym zapomnieć? Zastanawialiśmy się następnego dnia ze Stasiem, skąd mi się wzięło takie zdanie. „Słuchaj — mówi Staś — czy ty akurat wtedy czegoś nie czytałeś?”.

No, oczywiście. W tym samym felietonie cytowałem wywiad z Putramentem z 5/6 numeru miesięcznika „Poezja”. Znajduje się tam również wywiad ze Stanisławem Jędrzychowskim, który — ni mniej, ni więcej — powiada: „Nie dali Nagrody Szolochowowi...” (strona 73). Po prostu zasugerowałem się opinią Jędrzychowskiego, który palnął głupstwo, zresztą do pewnego stopnia usprawiedliwione, bo w 1956 roku był wicepremierem, w październiku został członkiem Biura Politycznego i przewodniczącym Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego. Miał więc ważniejsze sprawy na głowie.

Mnie także ówczesny Nobel jakoś nie utkwiał w głowie, bo miałem wtedy 20 lat i też byłem zajęty — choć w innej skali — „polskim Październikiem”. Pamiętam, należeliśmy do Związku Młodych Demokratów, razem z Andrzejem Ostoją-Owsią (dziś tzw. opozycja demokratyczna), Mietkiem Nalczykiem (dziś Zarząd Regionalny „Solidarności”), Józkiem Pogę (dziś tygodnik „Przyjaźń”)... Jak wi-

dać, dziś należymy do różnych parafii. Choć może to tylko złudzenie? Ale do rzeczy...

Niestety, poważny miesięcznik „Poezja” nie miał w swoim gronie doktorów, nikogo takiego, jak Staś B., który by głupstwo rozmówcy poprawił. Dodajmy zresztą, że wywiad z Jędrzychowskim prze-

FIGLE PAMIĘCI

prowadziło aż dwóch historyków literatury, z czego jeden z tytułem doktorskim. Jak widać, obecność utytułowanych ekspertów nie chroni przed głupstwami. Czego życie dowiodło i dowodzi nadal.

Dlaczego jednak po upływie paru tygodni przyznaję się, że i ja palnąłem głupstwo, choć nikt, oprócz Stasia, o tym nie wiedział? Otóż dlatego, że przysłówiowe „figle pamięci” są rzeczą naturalną. Można się bowiem zasugerować cudzym tekstem, można się zasugerować sytuacją, bo ja wiem czym jeszcze? Jerzy Andrzejewski ostatnio pomylił sekretarza KC, Kazimierza Barcikowskiego, ze słynnym niedgdyś adwokatem, Wacławem Barcikowskim, bo tego drugiego po prostu lepiej pamięta. Jerzy Putrament z kolei, Wan-

dę Konarzewską, znaną powszechnie autorkę programów telewizyjnych, przechrzcił na Konarską, bo też mu pewnie to nazwisko kogoś przypominało...

Melchior Wańkowicz w rozprawie o Żeromskim, księcia Gintuła uparcie nazywał... Giedroyciem, bo tak się nazywa redaktor paryskiej „Kultury”, do której Wańkowicz pisywał na emigracji.

Zabrakło widać Stasia B., który, powtarzając nauki Edmunda Osmańczyka, powiada: „Nawet, jeśli wiem na pewno, że dwa razy dwa jest cztery, to jednak sprawdzę, bo może tu chodzić o wyższą matematykę, gdzie wynik dwa razy dwa bywa nieraz inny...”.

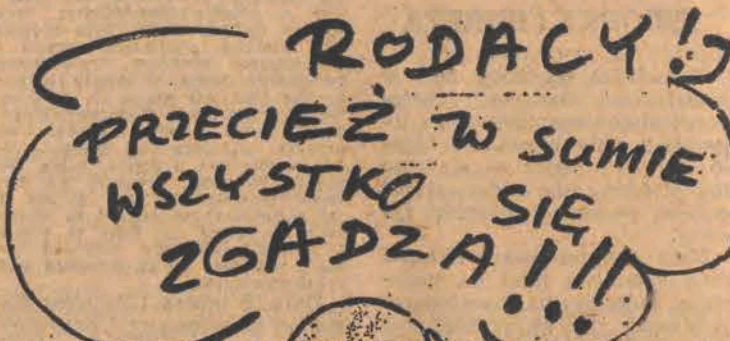
W dziennikarstwie taka skrupulatność jest nieodzowna. W literaturze często jej brak stanowi o uroku tekstu. Gdyby ktoś chciał poprawić historyczne pomyłki Szekspira, okaleczyłby dzieło.

Tak więc u Szekspira zegary wydzwaniają godziny w epoce Cezara, Kleopatra gra w bilard oraz używa papieru do pisania listów... Chiron w „Tytusie Andronicusie” nosi szpadę, a Gloucester w „Królu Learze” — okulary...

A w „Panu Tadeuszu”? Jednocześnie kwitną wiosenne kwiaty i dojrzewają owoce jesieni, mak kwitnie w czasie koszenia trawy, a równocześnie dojrzewa arbut, zaś święto Matki Boskiej przypada w Niedzielę Palmową... Takie to figle sprawiła Mickiewiczowi pamięć, gdy z paryskiego bruku przerosła swoja „duszę uścisną” do tych pół malowanych zbóhem rozmaitem”...

No, właśnie. Dalej już bez sprawdzania nie pamiętam — czy wyzłacanych pszenicą, wysrebranych żytem — czy odwrotnie? Staś sprawdziłby i — chwala mu za to.

JERZY WILMAŃSKI



Rys. ANDRZEJ GRUN

TELEWIZJA

Onegdaj zakończył się doroczny Festiwal Filmów Polskich w Gdańsku. Wspominał tu o tym fakcie z kilku powodów. Po pierwsze dlatego, że do konkursu organizatorzy dopuścili, a jurorzy nagrodzili, także filmy telewizyjne, co — w przypadku zaniechania przeglądu oświaty — winno stać się stałą i potrzebną praktyką. Po drugie dlatego, że i filmy kinowe, biorące udział w festiwalu, gościć będą w tv wcześniej bądź później, i telewizja właśnie otworzy przed nimi rzeczywiste możliwości dotarcia do prawdziwie szerokiej widowni. Zatem i telewizjowicze są zainteresowani co i kto brzmie w polskiej trzcinie kinematograficznej. Po trzecie wreszcie dlatego, że refleksy gdańskie imprezy docierały na małe ekrany w codziennych komentarzach.

Pisałem w ubiegłym tygodniu, że Anna Brzozowska prowadząca Studio Festiwalowe nie przyłożyła się zbyt do pracy. Może zawierzyła swojemu kobieco-redaktorskiemu espryt i postanowiła relacjonować festiwal na modny wciół luzie? Jedno jest pewne, że jej — ni by zjadliwie — recenzje rozpyływały się w oparach jakichś aluzji i znaczących niedomówień (ten fragment o „mat-pięć która dawała się do kamery”), a wywiady z twórcami po ogłoszeniu werdyktu jury sprawiły wrażenie debiutanckich zająknię. Piszę o tym nie dlatego, abym nie lubił szczególnie pani redaktor (szczęście jej Panie Boże), ale dlatego, iż tegoroczne Studio Festiwalowe było dość symptomatycznym wykładnikiem stosunku telewizji do polskiego kina w ogóle. Miał ściśle współpracę programową (jakież o-

gromne, a wciąż nie wykorzystane obopólne korzyści) z dwukrotnie wiodłymi o filmach. Zamiast rzetelnej informacji o premierach na dużych ekranach, informacji która jednocześnie mogłaby spełniać rolę reklamy, zachęty i wstępnej recenzji, kilkunastosekundowe zwiastuny w dziurach między jedną a drugą audycją. Zresztą nawet te zdwukowe —

Migawki z festiwalu gdańskiego dodają pieprzu do tego co napisałem wyżej. Agnieszka Holland wyrażając radość z otrzymania Złotych Łwów za, chłodno przyjętą, „Gorączkę” stwierdziła, iż cieszy się tym bardziej, że tegoroczne jury „po raz pierwszy na tym festiwalu nie było manipulowane”. Megalomania to (Wielka Nagroda z poprzednich lat dla Wajdy,

CO DALEJ?

jak się rzekło — wiadomości dotyczą przeważnie wciąż tego samego kręgu nazwisk. Ta swojszczyzna wyborcza praktyka jest signum specificum działań Redakcji Publicystyki Kulturalnej od wielu lat, również w odniesieniu do innych dziedzin sztuki. Byli redaktor naczelni tejże redakcji, także były dyrektor d/s artystycznych TvP Janusz Rolicki przed kilkunastu dniami w „Kulturze” bez jakiegokolwiek żenady objaśnił ów mechanizm. Otóż po prostu (?) istniał klucz (oddzielnym był sam Janusz Rolicki — co przyznaje) wedle którego dzielono się (ten czas przeszły to wyraz mojej dobrej woli i nadziei) twórców na tych „cacy” i tych „be”. O podziale decydowały nie tylko względy „ideologiczne” (o, tu nazwiska winnych można by spać z rekawem), co — jak trzeba domniemywać z tekstu Rolickiego — naciski środowiskowego lobby. Ujawniając takie lobby były redaktor-dyrektor próbuje teraz ukuć tarczę na swoją obronę. Naiwność to czy nierozumność?

Kutza, Hoffmana, Kiesłowskiego były wymanipulowane przez „Lukaszewicza”? czy mydlenie oczu? (Jury Gdańska 81 nie zauważyło „Rak do góry” Jerzego Skolimowskiego, a drugorzędny nagrodami obdarowało „Wahadełko” Filipa Bajona i „Dreszcze” Wojciecha Marczewskiego).

Wdając się w curiosa, którymi hojnie nas raczyło Studio Festiwalowe, nie mogę nie wspomnieć o wystąpieniu Michała Jagiello tym razem w nowej, bo administracyjno-ideologicznej roli. Otóż prezentując się w tej roli środowisku filmowemu składał deklarację, że uznaje kierowniczą rolę partii, akceptuje nasze sojusze i układy polityczne etc. Był to tego rodzaju ewenement, iż oczekiwaliśmy wyznań potwierdzających słusność kopernikańskiej teorii obrotu ciał niebieskich a potępiających np. niemiecką ideę nadszawizacji. A może stając we wrześniu 1981 roku przed gremium twórców polskiego kina trzeba wygłaszać oczywistości?

Tymi dniami usłyszałem w

Dzienniku Tv krępującą wiadomość. Oto nowe kierownictwo Radiokomitetu zamierza powołać Radę Programową. Pomyśl to wprawdzie nienowemu, a i nazwa znajomo brzmiąca. (Ileż w naszym przeszłym życiu kulturalno-artystycznym mieliśmy „rad programowych” — fikcyjnych wsporników dla działań dyrygencko-dyrektywnych; głośne nazwiska i autorytety, z których wielu z gazet dowiadywało się że zasiadają w jakichś „radach”, służyły za parawan z radzaka zresztą rozstawiany, jednak czasy inne. W obecnej sytuacji ekonomicznej, kiedy krucha budowa kultury może się całkiem zawalić (telewizja jest jej, jedną z ważniejszych, ścian nośnych), mądre doradztwo, uważne przysłuchiwanie się, rozległa ekspertyza, remanent dotychczasowych dokonań, wreszcie przemyślane prognozowanie mogą stać się istotną tamą dla rutyny, wygodnych przywyknień i obaw przed zmianami. Także program telewizyjny sypie się z tygodnia na tydzień. Mawia się „nie czas żałować róż, gdy płoń lasy”, mawia się „inter arma silent Musae”, ale może i czas zweryfikować te zakorzenione mądrości?

Chcielibyśmy, oprócz miłych skądinąd zapowiedzi pary Wojteczak-Wunderlich w „Antenie”, posłuchać samych szefów naszej tv w „prostych odpowiedziach” na temat przyszłości telewizyjnego krajobrazu, ale generalnie, a nie o tym, iż w piątek zobaczymy turecką „Cudną synową”, którąś dopiero co już oglądaliśmy.

GRZEGORZ GAZDA

ŚWIAT Z BOKU

Od czasu pojawienia się na drogach większej liczby samochodów wzrósł szacunek dla pracy grabarzy i chirurgów. Nie próżnowali także mechanicy samochodowi, zajmujący się ożywianiem wszelkiego rodzaju wraków.

Bezkarności były apele o ostrożność i odpowiedzialną jazdę, o przestrzeganie przepisów drogowych i o nieswanie za kierownicą po spożyciu alkoholu. Prowadzone przez podchmielonych kierowców samochody rozwijały nadmierną szybkość i wykonywały najdziwniejsze ewolucje, w wyniku których najczęściej ładowały w przydrożnym rowie.

Chcąc sobie zapewnić maksymalne bezpieczeństwo jazdy, grupa wpływowych użytkowników szos poleciła odnośnej instytucji przeprowadzenie niezbędnych badań, mających na celu ustalenie miejsc wpadania samochodów do rowu. W oparciu o te informacje miało skorygować trasę drogi. Przedsięwzięcie okazało się niezwykle pracochłonne i kosztowne, ponieważ szosie trzeba było nadać kształt zwyżki, który się w dodatku ciągle zmieniał, stosownie do uzyskiwanych informacji. Wiazało się to z wywłaszczaniem coraz to nowych gruntów i z zaciąganiem dalszych pożyczek. Koszty te były tym większe, że do każdorazowej przebudowy drogi używano nowych prefabrykatów i materiałów.

Wykorzystywanie materiałów z odzysku zmniejszałoby bowiem przerób wykonawcy robot, a tym samym i zarobki jego pracowników. Zadzłajał tutaj swoiste bodźce ekonomiczne, głupie, lecz obowiązujące. Realizatorzy inwestycji nie przejmowali się jednak takimi przeszkodami. Po pierwsze — uważali, że najważniejsze jest życie i bezpieczeństwo ludzkie (ich), po drugie — nie było żadnych trud-

DROGA

ności z uzyskaniem potrzebnych kredytów. Ludność miejscowa niechętna była takim zmianom krajobrazu, poza tym dążyła do niepokój, że droga zabierze jej i zamieni w nieużytki dalsze grunty rolne, lecz nikt się nie liczył z jej zdaniem. Podobnie było podczas przebudowy sklepów spożywczych na przemysłowe, a przemysłowych na spożywcze. Jedyną nagrodą pocieszenia były dla mieszkańców materiały pochodzące z rozebranych odcinków drogi. Materiałami tymi mogli dowolnie dysponować po wzięciu drogowcom odpowiednich — jak się to niekiedy mówi — łapówek.

Oczywiście pomysł dostosowania drogi do wymagań pijących użytkowników okazał się niewypałem. Przyczyną tego były następujące:

1) Zwiększenie liczby zakrętów wydłużyło trasę, co z kolei powodowało marnotrawstwo paliwa i przedłużało czas jazdy. By nadrobić stracony czas, kierowcy zwiększali szybkość. Następstwa tego były fatalne.

2) Krętość drogi nie zmniejszała, lecz zwiększała niebezpieczeństwo katastrofy i wymagała jeszcze większej wiedzy i ostrożności niż droga prosta.

W tej sytuacji postanowiono drogę wyprostować i zwiększyć mandaty karne za prowadzenie samochodów w stanie niebezpiecznym. „Najbezpieczniejsza i zarazem najtańsza droga — jak stwierdzono na konferencji prasowej — to droga prosta, bezkolizyjna i niedostępna dla ludzi nieodpowiedzialnych”.

Zycze Państwu szerokiej, prostej i bezkolizyjnej drogi!

JAN WALEK



TELEPRASÓWKA

W TROSCIE O RZETELNĄ I PEŁNĄ INFORMACJĘ

W ubiegłym czwartku odbyło się zebranie Łódzkiego Oddziału SDP.

HASŁO NUMERU: Prawda w oczy kole. Chroni oczy.

podczas którego podjęto rezolucję. Następnego dnia pełny jej tekst zamieściły wszystkie łódzkie gazety: „Głos Robotniczy” pod tytułem „W trosce o rzetelną i pełną informację”.

W sobotę atoli wiadomość o tym, że zebraniu, sygnowana przez PAP, przyniosła „Trybuna Ludu”. Rezolucja została w niej omówiona i okrojona tak zgrabnie, że przy okazji zagubiono intencję i diagnozę. Pominęto na przykład ocene sytuacji, w której sygnatariusze oświadczenia są zdania, iż część sił skrajnych forsuje nieodpowiedzialne posunięcia polityczne pod pozorem obrony „odnowy”, częściej zaś nadużywa formuły „obrony socjalizmu” dążąc do utrzymania swych pozycji za wszelką cenę.

Można się z taką diagnozą nie zgadzać — należałoby wtedy polemizować. Trudno jednak uznać za rzetelność dziennikarską przykrawanie poglądów adwersarzy do swoich racji i intencji.

Łódzki Oddział PAP nadał oświadczenie w pełnym jego brzmieniu. Zniekształcono je między Warszawą a resztą Polski. Zapewne w trosce o rzetelną i pełną informację...

PODSZCZYPYWANIE

W „Komunikacie” nr 238 ZR Ziemni Łódzkiej „Solidarności” znajduje się informacja o tym, iż grupa przedstawicieli partii rządzącej udała się do Warszawy, by podjąć starania o uzyskanie poprawy opatrzenia w żywność. Informację opatrzone tytułem „Pod naciskiem społecznym”.

Czy doprawdy nie można by sobie darować tych drobnych uszczypleni, dezawuujących działania ludzi dobrej woli, współobywateli i współmieszkańców?

KONWERGENCJA — PRAKTYCZNIE

W poniedziałkowym DTV ukazało się sprawozdanie z konferencji prasowej z bytnością amerykańskim, który zamierza za inwestować 140 mln dolarów w budowę w Polsce kopalni siarki i fabryki chemicznej.

Wszystko byłoby pięknie, gdyby dziennikarze nie postanowili zaniechać opinii sympatycznego, bo sympatycznego, ale jednak kapitalisty, co do wyborów dyrektorów w socjalistycznym przedsiębiorstwie. Kapitalista odpowiedział, oczywiście, że to nonsens, że wybory. A co ma odpowiedzieć kapitalista — właściciel środków produkcji?

Chwyt, jaki zastosowali nasi koledzy, jest zastosowaniem teorii konwergencji w praktyce.



Rys. Andrzej Tylczyński

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy”: al A Mickiewicza 11; kod 90-438 Łódź. Telefon: sekretariat i redaktor naczelny 652-44 sekretarz redakcji 680-99 publicysta 677-70. Redakcja nie zamówionych reprintsów nie zwraca. Zastrzega sobie również prawo do skrótków. Informacje o warunkach prenumeraty udziela oddział RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumerata ze zniżką dla wszystkich za granicę przysyłają RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwa 00 958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139 prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50%. Dla decydentów indywidualnych i o 100% dla decydentów instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 2054 K-11.